Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 15 (1855) ● 10–16 kwietnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Rakiety Pana Boga

str. 11

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 15

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 3035c1864a

WOJNA DOMOWA

Z niejakim rozczarowaniem przejrzeliśmy homilie biskupów i innych księży celebrytów na okoliczność Wielkiejnocy. Same Chrystusy, zmartwychwstania, wspólnoty, miłosierdzia i wezwania do modlitwy. Ani słowa o tęczowej zarazie, mordowaniu nienarodzonych, szkalowaniu pamięci Wielkiego Rodaka, komunistach u władzy, nawet jednego grobika z wyskrobkiem czy choćby sierpem i młotem. Duch w klerze umiera. Będzie nam go brakowało.

Wielki przyjaciel Polski pisowskiej Donald Trump nie zamordował całej irańskiej cywilizacji, choć obiecał to robić we wtorek o 20.00 czasu wschodniego. Na półtorej godziny przed upływem terminu masakry prezydent USA uległ perswazji premiera Pakistanu i zdecydował się na dwutygodniowy rozejm. Małoduszni komentatorzy uważają, że 10-punktowy plan, będący irańskim warunkiem do zaakceptowania rozejmu, nie do końca świadczy o amerykańskim zwycięstwie. Zwłaszcza informacja, że Iran ma zamiar pobierać myto za przekroczenie cieśniny Ormuz, której bezwarunkowe i całkowite ponowne otwarcie było warunkiem odstąpienia Ameryki od ludobójstwa. Na szczęście prezydent Trump ogłosił „totalne i całkowite zwycięstwo", więc wszyscy już wiemy, co myśleć.

Choć uczciwie trzeba powiedzieć, że nasz dzielny wicepremier i szef MON nieco się stawia. „Ten reżim w Iranie nie jest czymś dobrym i na pewno te masowe akty wobec ludności cywilnej, których się dopuszczali w Iranie w ostatnich miesiącach, nie były niczym, co jest w żaden sposób godne dobrego słowa, nawet chwili zastanowienia, trzeba to potępić radykalnie i tutaj Ameryka ma rację" – rozpoczął stanowczo Władysław Kosiniak-Kamysz. Ale dodał też: „Ale sposób działania tego wszystkiego, co się dzieje, jakie konsekwencje są dla Europy i świata, nie jest dobry, jest bardzo trudny do przyjęcia". I podsumował: „Na tej wojnie więcej jest przegranych niż wygranych niestety". Co pan powie, panie premierze?

Z kolei wicepremier od MSZ postawił się Żydom. Po tym, jak Kneset przegłosował przywrócenie kary śmierci – wyłącznie wobec Palestyńczyków, wykonywanej przez powieszenie, w ciągu 90 dni od wydania przez sąd wojskowy wyroku, bez prawa do ułaskawienia – polski MSZ skierował do rządu Izraela oświadczenie, opublikowane, a jakże, na platformie X. „Ze względu na szczególną wrażliwość historyczną wzywamy Izrael do utrzymania moratorium zarówno na wykonywanie egzekucji, jak i orzekanie kary śmierci" – napisali radkowi mistrzowie dyplomacji i nawet ośmielili się odnotować – choć nie wprost – że niedobrze, że wieszać ma się Palestyńczyków, ale nie Żydów: „Całkowicie niedopuszczalne jest w państwie prawa stosowanie kary śmierci, które można by uznać za dyskryminujące wobec osób określonej narodowości"… Proponujemy takie ćwiczenie na wyobraźnię: wyobraźcie sobie, że Duma przyjmuje ustawę o wieszaniu Ukraińców, a generał Kołokolcew – szef rosyjskiego MSW – odbija z tego tytułu flaszkę szampana na sali obrad. Co wtedy zrobiłby odważny Radek i jego pryncypialny resort?

Prof. Tadeusz Kowalski, jedyny niepisowski członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zażądał, aby Rada zajęła się analizą pasków w TV Republika. Inkryminowane paski brzmią następująco: „Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców na miliardy euro"; „Der SAFE für Deutschland kaputt"; „Weto do der SAFE, Tusk szykuje uchwałę für Deutschland"… Tak się zastanawiamy: czy redaktorzy telewizji Sakiewicza to idioci, czy za idiotów mają swoich widzów? A Państwo jak sądzą?

Donald Tusk poinformował Radę Ministrów – a przy okazji całą Polskę – że ma „ponure wiadomości", a także „niepokojące informacje", które „rodzą dramatyczne pytania" w sprawie veta prezydenta Nawrockiego do ustawy regulującej rynek kryptowalut. Jak doniosła mu ABW, niejaki Przemysław Kral, prezes giełdy kryptowalut Zondacrypto, dał 450 kafli Instytutowi Suwerennej Polski Zbigniewa Ziobro – z czego część poszła na adwokatów dla posła Mateckiego i księdza Olszewskiego. 70 tys. euro Kral kopsnął na fundację Wiplera o nazwie „Dobry rząd". Przed drugą turą wyborów prezydenckich Zondacrypto była też głównym sponsorem kongresu CPAC, na którym brylowali Duda i Nawrocki. Po pierwsze, już wiemy, ile kosztuje w Polsce poseł: rok do dwóch lat poselskich zarobków. Niby niewiele, ale ziarnko do ziarnka. Po drugie, znów, podobnie jak w zeszłym tygodniu, wyrażamy szczerą radość w związku z zapałem regulacyjnym Donalda Tuska. Fakt, że szef rządu, który swą polityczną drogę zaczynał jako neoliberalny fetyszysta wolnego rynku, dostrzega, że państwo musi trzymać biznes za ryj – napawa nas, lewaków, nadzieją i satysfakcją.

Z innych osiągnięć ABW: jak poinformował rzecznik ministra koordynatora Jacek Dobrzyński, służby zatrzymały kolejnego groźnego szpiega: „Okazało się, że osoba, która fotografowała zarówno pociągi, jak i przede wszystkim infrastrukturę krytyczną na torach, to jest obywatel Chin" – usłyszeliśmy. Potem rzecznik Dobrzyński pochwalił „tak zwaną obywatelską czujność", która przejawia się w tym, że „obywatele, Polacy" zgłaszają właściwym organom „każdy niepokojący sygnał dotyczący osób, które bezpośrednio pojawiają się na torach, zachowują się sposób nienaturalny, robią zdjęcia". Otóż tak się składa, że wraz z imponującym rozwojem sieci kolejowej – liczącej dziś 160 tys. km, w tym ponad 50 tys. km kolei dużych prędkości – w Chinach rozwinęła się społeczność tzw. mikoli, czyli miłośników kolei (w Polsce też trochę ich mamy, ale znacznie mniej dynamicznych). Mikole mają to do siebie, że jeżdżą po świecie, oglądają i fotografują pociągi. Takie hobby. Byłoby dobrze, jakby obywatel Chińskiej Republiki Ludowej nie zgnił w polskim więzieniu, bo chciał zrobić zdjęcie ciuchci, która zapewne wydała mu się zabytkiem – bo na taki, w porównaniu z chińską koleją, wygląda większość polskich pociągów.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Kwiecień 2014 r.

Świętej Ireny

Napisałem w felietonie, że chciałbym mieć premiera, który chodzi do teatru, a nie na mecze. Kurwa w dupę pierdolona, ale mam wpływy! Siadam sobie w stołecznym Dramatycznym, a tu cztery krzesła ode mnie premier Tusk. W innych rzędach pół rządu. Co się okazało. Wystawiano sztukę według powieści Ostachowicza, który dyryguje wizerunkiem premiera, a więc Tusk znalazł się w teatrze z towarzyskiego obowiązku przedwyborczego. Spektakl nosił nazwę „Noc żywych Żydów" i trwał prawie cztery godziny. Z żadnymi Żydami pół nocy nie da się wytrzymać. Ewentualnie z Żydówkami, ale to nie może być Hanna Krall.

Świętego Marcelina

Adam Michnik pisze i mówi, że mógłby się ukatolicyzować; wystarczy, żeby Kościół się zmienił podług gustu i wymagań redaktora. Wstrząsnęło to środowiskiem bezbożników. Albo się w Boga wierzy, albo uznaje Go za fałsz. Wszystko, co zbudowane na kłamstwie, nawet jak jest dobre w skutkach, ma fałszywy fundament – nauczał Michnik, miłośnik prawdy. Żeby szanować jakikolwiek Kościół, trzeba wierzyć w Boga i sakralność kapłanów. Teoria Kościoła jako pożytecznej bzdury zginęła w trakcie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Świętego Jana Baptysty

Jerzy Targalski, za czasów PiS dyrektor rozgłośni państwowego radia, pisze w „Gazecie Polskiej Codziennie", że Rosja jest pasożytem, że wszelkie z nią porozumienia nie mają sensu, bo tylko zaostrzą nieodzowne starcie. Putin zmierza do politycznego podporządkowania sobie Unii Europejskiej. Rosja jest zdolna tylko do destrukcji. Poparcie dla Putina spada. W Rosji nastąpi załamanie gospodarcze. Niepowodzenie prób przejęcia przez Moskwę władzy nad częścią sfederalizowanej Ukrainy doprowadzi do agresji wojsk rosyjskich. Zmusi to USA do kontrakcji.

W początkach Polski Ludowej zarzucano jej władzom bierność wobec wywożenia na Sybir niektórych Polaków. Gdy czytam Targalskiego, to mniemam, że gdyby dziś przymusowo osiedlić go na Syberii przy wyrębie drzew, rząd RP też miałby powód do zadowolenia z wywózki.

Świętej Julii

Azor szczekał na popiersie Lenina stojące w naszym ogrodzie. Chciałem go za to zbić albo zabić. Na szczęście okazało się, że za popiersiem kwili pisklę, które wypadło z gniazda. Azor zwoływał więc nasze koty na ucztę. Czyli pozostał apolityczny.

Świętego Gautiera

Daniszewska wyjeżdża do Irlandii. Tam zorientuje się i zadzwoni do mnie, po jaką cholerę pojechała. Przed podróżą chudnie, gdyż mniej pije. Szykuje miejsce w organizmie. Przed odlotem trenuje też podróżnictwo. Wypuściła się autem do Białegostoku. Ma tam ojca i wspomnienia z młodości. Jedno i drugie obiecuje załatwić w godzinę. Tu wierzę jej bezgranicznie. „Rzeczpospolita" wspomniała, że Daniszewska wydawała w Konstancinie huczne przyjęcia. Nadal wydaje, tylko huku brak. Wczoraj zrobiono kotom manicure. Opłakują pazury.

Przy szosie, którą Daniszewska jedzie dziś do Białegostoku, sprzedają sezonowe produkty: grzyby, ryby, jagody, truskawki, pomidory, jabłka, czereśnie, śliwki. Teraz na stolikach wystawione są Jany Pawły z plastiku. Są różnego kalibru z dużą żółtą aureolą. Pycha.

Świętego Fulberta

Papież reportażu red. Mariusz Szczygieł powiedział w telewizji, że zamieścił mój reportaż „Pamiętnik swata" z 1957 r. w antologii wyróżniających się stu reportaży polskich. Powodem to, że byłem prekursorem gatunku. Nie wiem, czy chodzi o to, że pierwszy udawałem niedziennikarza (wcieleniówka), czy że sam zainscenizowałem opisywane zdarzenia. „Pamiętnik swata" był różnie oceniany. Przedrukował go w tłumaczeniu na francuski kultowy miesięcznik J.P. Sartre'a „Les Temps Modernes". 12 lat później szef propagandy Stefan Olszowski nazwał mnie za „Swata" szmatławym dziennikarzem. W latach 50. Szczygłem, czyli papieżem reportażu, był Marian Brandys. Wyżej on stawiał moje wcześniejsze reportaże z wojny o Kanał Sueski, gdzie byłem akredytowany przy izraelskim sztabie gen. Dajana („Jak to na wojence ładnie"), i inny o Wielkanocy w powiatowym miasteczku. Od 40 lat nie napisałem reportażu. Sądzę, że napisać bym umiał, ale zebrać materiału – już nie.

Moja córka spłodzona z pierwszą żoną poznaną w Krakowie w czasie, gdy udawałem swata, naprawdę prowadzi wraz z mężem biuro matrymonialne Czandra w Warszawie. Widuję, jak niekiedy zaczepiają ją na ulicy, dziękując za szczęśliwe małżeństwo. Ale większość przechodniów jej nie zaczepia. Widocznie ich związki są zgniłe.

Świętego Otyliusza

Dziennik „Fakt" oskarżył Tuska, że był ze mną w teatrze. To znaczy on był na widowni i ja byłem. Biedny premier przed pójściem do parku będzie musiał sprawdzić, czy ja tam nie spaceruję. I hańba Kaczyńskiemu, że nas ta sama ziemia nosi. Ziemia zasrana, polska.

Świętego Stanisława

Pan Wyszkowski, osobisty wrzód na karku Wałęsy, zatytułował swój esej o komunistycznym charakterze III RP: „Berman, Minc, Michnik i Urban". Bermana, Minca i Urbana łączy z Michnikiem tylko jedno: ewentualny brak napletka. Inaczej byłoby: Bierut, Jaruzelski, Wałęsa i Tusk.

Świętego Juliana

Czytam „Rodzinę" Moniki Jaruzelskiej i myślę, jak zwykle, o sobie: jak dobrze być sierotą.

Świętej palmy

Starcy w Polsce dzielą się na bezzębnych i bogatych. Odbywam proces zmiany zębów. Nowe kosztują tyle, ile luksusowy samochód. Czy głowa nie ciąży, gdy się nosi mercedesa w mordzie? Zęby tym górują nad wozem, że nie można ich ukraść. Wybicie jest rzadsze. Azor, chociaż młodzik, ma niewiele zębów. Pokrojone mięso gryzie bokiem. Sztuczne zęby można by wstawić Azorowi tylko w Ameryce, ale kosztują tyle, co czołg albo senator.

Świętego Maksima

„Gazeta Polska Codziennie" podała, że po II wojnie w więzieniu przy ul. Strzeleckiej w Warszawie na Pradze zginęło z rąk ubeckich ćwierć miliona polskich żołnierzy. Jeżeli na Pradze był kilkanaście razy większy Katyń niż w Katyniu, to po co było latać samolotem do Smoleńska? Na Pragę mamy bezpieczny dojazd tramwajem. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Ksiądz Rafał Główczyński** poskarżył się na browary znajdowane w koszyczkach ze święconką. Słusznie, browara walimy na rezurekcji.
- **Radiomaryja.pl** ostrzega, że lekarze dokonują eutanazji dla przyjemności i wygody. No bo ile można katar leczyć?
- **Fronda.pl** informuje, że fasolka po bretońsku jest dobra na śniadanie, obiad i kolację. To tak samo jak modlitwa.
- **Papież** powiedział, że liczy się miłość, nie lajki. Ale unpacking Jezusa z groty zrobił.
- **Ministerstwo Sprawiedliwości** na kartkach wielkanocnych życzyło smacznego żurku. Żurek obowiązkowo z jajami.
- **Karol Nawrocki** pochwalił się treningiem siłowym z Mariuszem Pudzianowskim. Tyle w temacie bezpieczeństwa Polski.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Jajco z GUS-u

Podoba mi się rubryka „Życie w dobrobycie" redagowana przez TTJ. Nie tyle nawet poszczególne artykuły, ale przyjęty tam sposób podejścia do zagadnień poważnych, a nawet fundamentalnych, (...) ukazywanie paradoksów. (…) TTJ (pan Tadeusz Jasiński?) próbował przeanalizować zasady ustalania emerytur (…), dostrzegając przy tym istotną rolę publikowanych przez GUS tablic długości dalszego trwania życia ubezpieczonego. Wyszło mu, że oficjalnie głoszona zasada „ile wpłacisz, tyle dostajesz" brzmi z lekka fałszywie.

Kiedyś wcześniej także analizowałem wymienione wyżej zagadnienie (...). GUS ogłasza corocznie tablice długości dalszego trwania życia ubezpieczonego. W związku z tym chciałem się dowiedzieć, jak to robi. Jakie są przyjęte algorytmy, gdzie są one opisane, jaką rangę ma akt prawny, w którym owe zasady są sformułowane? I co? I jajco! Sztuczna inteligencja kręci się w kółko, kluczy, ale nie podaje ani ustawy, ani rozporządzenia. A przecież takie muszą istnieć. A może (…) istnieje jeszcze jakieś inne źródło? Bo przecież nie jest możliwe, by (...) GUS prognozował długość dalszego trwania życia ubezpieczonego na oko (...)! Osobiście podejrzewam tu grubszy wałek.

(…) Ustalenia wymaga zarówno podstawa określenia wspomnianego algorytmu, jak również zbadanie, czy nie jest on przypadkiem wadliwy. Jeśli taki algorytm istnieje, nie jest wykluczone, że jest skomplikowany. Niewykluczone, że trzeba będzie wypić ze trzy kawy i wzmocnić dodatkowo efekt lampką koniaku, by zrozumieć, o co chodzi. Mogę tego niestety nie przetrzymać. Tymczasem TTJ jest bystry oraz, jak przypuszczam, młody i dziarski. Może będzie mu się chciało dojść do sedna sprawy? Czy wyobrażacie sobie roz...duchę, jaka mogłaby zaistnieć, gdyby moje podejrzenia były słuszne, a grupa jakichś bojowych posłów czy innych polityków podjęłaby temat (dajmy na to taka prof. Senyszyn)?

Jeremiasz z Wadowic

eprasa.pl 3035c1864a

Imperium zła

Czy możemy porozmawiać o USA?

We wtorek kładłam się spać z obawą, że obudzę się w świecie wojny atomowej. W środę wstałam rano, włączyłam CNN i przeczytałam na pasku: „Internet oszalał na punkcie słoika Nutelli lewitującego na pokładzie Artemis II". Czy możemy już wszyscy przestać udawać, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (tak!) są państwem szlachetnym? Albo poważnym?

Donald Trump nie jest wypadkiem przy pracy amerykańskiej demokracji. Jest naturalną konsekwencją ewolucji agresywnego imperium opartego na ustroju oligarchicznym, gdzie miliarderzy kupują polityków i mówią im, co robić.

Głęboka wewnętrzna niemoralność Stanów Zjednoczonych przekłada się – to jasne – na ich niemoralność zewnętrzną. To państwo brutalnie łamiące zasady prawa międzynarodowego, a także własną konstytucję – i bynajmniej nie zaczęło się to od Trumpa.

Lista zbrodniarzy wojennych na stanowisku Przywódcy Wolnego Świata jest w zasadzie tożsama z listą powojennych prezydentów USA. Rozpoczyna ją oczywiście Harry Truman, który jako jedyny w historii ludzkości – przypominajmy o tym, bo to ważne – użył bomby atomowej, dwukrotnie, przeciwko ludności cywilnej, z czego zresztą do końca życia był bardzo dumny. Potem były: Korea Północna, Iran, Gwatemala, Kuba, Dominikana, Wietnam, Chile, Kambodża, Laos, Grenada, Panama, Somalia, Serbia, Afganistan, Irak, Libia, Syria, Jemen, Nigeria, Wenezuela, Iran. Aha, nie zapominajmy o Ukrainie, gdzie w lutym 2014 r. krwawe starcia uliczne unieważniły podpisane przy udziale polityków europejskich (w tym Radka Sikorskiego) porozumienie opozycji z prezydentem Janukowyczem przewidujące pokojowe rozwiązanie konfliktu. Udział w USA w tym zamachu stanu dokumentuje nagranie rozmowy Victorii Nuland z Departamentu Stanu z ambasadorem USA w Kijowie Geoffem Pyattem decydujących, kto będzie w nowym ukraińskim rządzie, a kto nie – i „jebać EU".

W sumie – jak precyzyjnie wylicza w książce „Tajna zmiana reżimu" badaczka polityki międzynarodowej Lindsey O'Rourke – w latach 1947–1989 USA zaangażowały się w 70 operacji „zmiany reżimu". Operacje od 1990 r. są w większości nadal tajne, ale Jeffrey Sachs twierdzi, że dobijamy do setki.

A teraz wyobraźcie sobie, że ta sama statystyka dotyczy Rosji albo Chin.

I – kontynuując to absurdalne porównanie – wyobraźcie sobie, że Władimir Putin albo Xi Jinping ogłasza w mediach społecznościowych: „Cała cywilizacja umrze dziś wieczorem i nigdy nie uda się jej odbudować". Widzimy to? Wyobrażamy sobie reakcję światowych – czytaj: zachodnich – polityków, mediów, autorytetów? Zgoda, w odróżnieniu od Trumpa Putin i Xi nie wykazują wyraźnych oznak demencji i przyzwyczailiśmy się traktować ich słowa serio, a nie jak wybuchy dziecięcego temperamentu – ale czy jednak nie uderza Was hipokryzja w ocenie przywódców tych trzech imperiów?

Racjonalizacja tych podwójnych standardów – niedeklarowana, „dorozumiana" – jest taka, że USA są siłą dobra, więc wolno im więcej. To kompletna bzdura – patrz wyżej.

Od likwidacji III Rzeszy nie było na ziemskim globie państwa tak bandyckiego, łamiącego prawo międzynarodowe na taką skalę; od upadku ZSRR nie ma nawet państwa, które usiłuje Stanom w tej kategorii dorównać.

Druga, rzekomo bardziej wyrachowana – czyli jakoby rozumniejsza – motywacja jest taka, że USA „nas bronią". Nas, Europy, kolektywnego Zachodu, generalnie: zachodniej cywilizacji. I nad tym warto byłoby się zatrzymać.

To argument, którego używają obie strony tego toksycznego związku. Politycy europejscy, w tym polscy, mamroczą o tym, że „nie ma NATO bez USA, nie ma potęgi USA bez NATO" (w środę tę mantrę wygłosił wicepremier Kosiniak-Kamysz). Trump i jego minionki wprost wypominają reszcie NATO, jak to stoją na straży naszego bezpieczeństwa, ale wcale nie muszą.

Na początku kwietnia w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „Telegraph" Trump znowu wznosił okrzyki o wychodzeniu z NATO. Sekretarz stanu Marco Rubio uzupełnił, że jeżeli USA nie mogą używać natowskich baz w krajach europejskich do „bronienia interesów Ameryki", to „NATO jest ulicą jednokierunkową", albowiem „sprowadza się do tego, że my mamy swoich żołnierzy w Europie, żeby bronić Europy, wydajemy miliardy, setki miliardów dolarów, przez lata biliony dolarów", a Europa się nie odwzajemnia…

Marco Rubio nie jest – jak mawiają Amerykanie – najostrzejszym ołówkiem w pudełku, toteż niechcący powiedział coś ważnego: mianowicie, że chce używać NATO do „bronienia amerykańskich interesów". Traktat Północnoatlantycki nie mówi nic o „bronieniu interesów". Wymienia wartości, dla których obrony pakt powstał: „integralność terytorialna, niezależność polityczna lub bezpieczeństwo którejkolwiek ze Stron" (art. 4, dotyczący konsultacji) oraz obrona przed „zbrojną napaścią" (art. 5).

Ale nawet nie to jest najważniejsze. Otóż chyba pora zapytać: przed czym bronią nas Stany Zjednoczone?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Europa – przy wszystkich zastrzeżeniach, które można mieć do wspólnoty – wyciągnęła wnioski ze swojej krwawej historii i stała się strukturą szczerze pokojową. To, co jest dziś przez wszystkich polityków mainstreamu, i z prawa, i z lewa, opisywane jako największa słabość Europy – minimalizacja wydatków obronnych, rezygnacja z militaryzmu, koncentracja na inwestycjach społecznych i rozwojowych – jest jej największą siłą.

W 2005 r. brytyjski politolog Mark Leonard napisał książkę pt. „Dlaczego Europa będzie rządzić w XXI wieku", w której przekonywał, że „siła transformacyjna" UE polega na tym, że de facto podbija kolejne kraje, używając jednej tylko groźby: że nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Że rozliczne państwa – wtedy dotyczyło to także Polski – zabiegają o to „podbicie" dobrowolnie i samorzutnie, reformując się od wewnątrz, dostosowując swoje systemy prawne, gospodarcze, edukacyjne, swój system wartości do europejskiego wzorca. Pacyfizm, minimalizacja wydatków na wojsko – były elementem tego wzorca.

I to działało. Dziś słyszymy o kompletnej kompromitacji Niemiec polegającej na wieloletniej współpracy z Rosją. Ale przecież ta współpraca była źródłem najlepszego ćwierćwiecza w historii Europy: bezpieczeństwa, pokoju, rozwoju, taniej energii.

Co poszło nie tak?

Wersja oficjalna mówi o „ruskim imperializmie" i szaleństwie Putina, który chce odbudować Związek Radziecki (przepraszam: Sowiecki). Ale to nie Putin próbował wciągnąć Kanadę lub Meksyk do militarnego sojuszu, to nie Putin od ćwierćwiecza przesuwał swoje rakiety coraz bliżej amerykańskich granic, wreszcie to nie Putin ma 750 baz wojskowych na całym świecie. (Rosja – jakby kto pytał – ma ich koło 50, głównie pozostałości po ZSRR; Chiny – jedną, w Dżibuti.)

Jak z uporem przypominają John Mearsheimer i Jeffrey Sachs, a w Polce Grzegorz Kołodko – USA w latach 90. zobowiązywały się do nierozszerzania NATO na wschód i systematycznie łamały te zobowiązania mimo powtarzanych rosyjskich protestów. Czy ktokolwiek ma pewność opartą na faktach – a nie na żarliwej rusofobii – że Rosja napadłaby na Ukrainę, gdyby USA nie zmajstrowały zamachu stanu w 2014 r. i nie uparły się przy wciąganiu Ukrainy do NATO?

Tę samą argumentację można zastosować wobec kolejnych kryzysów uchodźczych dotykających Europy: ich źródła leżą w zdewastowaniu Bliskiego Wschodu przez imperialistyczną politykę USA – w wojnach Busha, które doprowadziły do upadku państwa w Iraku i Afganistanie, i w późniejszym zaangażowaniu USA w operację „zmiany reżimu" Baszszara al-Asada, co zaowocowało wojną domową w Syrii i powstaniem Państwa Islamskiego. A dziś – jak trafnie zauważył ostatnio Donald Trump – za jego irańską awanturę płacą „te państwa, które importują ropę przez cieśninę Ormuz".

Słowem: czy nie jest pora, żeby Europejczycy zdali sobie sprawę, że Ameryka nie jest naszym przyjacielem? Kiedy prezydent USA bombarduje szkołę podstawową dla dziewcząt, zapowiada, że „zabije całą cywilizację" i wyznaje z rozkoszną szczerością, że w ogóle nie martwi go to, że popełnia zbrodnie wojenne – może to jest czas na refleksję?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Na kolana przed trepami

Nowa świecka tradycja

Odpowiedź na pytanie, co w ostatnich sezonach jest najmodniejsze w warszawce, jest prosta: w stolicy od paru lat nosi się wojskowych na rękach. Rzymianie ukuli powiedzenie, że o zmarłych mówi się dobrze albo w ogóle, lecz polscy politycy i ich klakierzy medialni rozciągnęli to na wciąż żywych mundurowych. Wydaje się, że wystarczy ogolić pierwszą z brzegu małpę z zoo i ubrać ją w mundur z biało-czerwoną naszywką i już to stworzenie stanie się – niczym krowa w Indiach – wręcz święte.

Ostatnio szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz postanowił postawić do pionu moralno-ideologicznego Marka Suskiego, występując do sejmowej komisji etyki o ukaranie posła PiS-u, gdyż jego zachowanie „wobec żołnierza podczas uroczystości w Radomiu było skandaliczne; to bezpardonowe oplucie polskiego munduru". Widocznie lider ludowców zapamiętał sprzed lat piosenkę T.Love, w której Muniek Staszczyk śpiewał, że „ojczyznę trzeba kochać i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło", a ucieleśnieniem Ojczyzny i Narodu Polskiego jest wszak wojskowy.

Wyklęty przez Suskiego

Poszło w sumie o drobiazg. Podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych szef Garnizonu Radom uznał, że na uroczystości z udziałem wojskowej asysty honorowej nie będzie przemówień polityków, co podkurwiło Suskiego. Znany artysta i miłośnik carycy Katarzyny zwrócił się do mjr. Andrzeja Kalisiaka w prostych, nomen omen, żołnierskich słowach: „Czy pan jest polskim oficerem, czy przedstawicielem junty Tuska i Czarzastego? Niech pan się zastanowi, co pan robi".

Ta w sumie drobna jak na polskie standardy pyskówki (bo nie debaty!) publicznej sprawa urosła w oczach Kosiniaka-Kamysza do rangi wiekopomnego kamienia obrazy. Szef MON odpalił się, włączając protokół świętego oburzenia, twierdząc: „Wniosek o ukaranie posła Marka Suskiego już w Komisji Etyki Poselskiej za skandaliczne i haniebne publiczne znieważenie oficera Wojska Polskiego podczas uroczystości państwowej w Radomiu. Nie ma zgody na opluwanie polskiego munduru. Stoję murem za żołnierzami Wojska Polskiego. Każdy, kto próbuje upokarzać żołnierzy dla politycznego spektaklu, musi liczyć się z konsekwencjami! Zawsze!".

Przy okazji afery wokół dwóch SAFE-ów na Facebooku PSL-u ukazał się wpis, w którym czytamy m.in.: „My stoimy Murem za Polskim Mundurem! Oni: PiS i Konfederacja nie chcą rozwoju polskiej zbrojeniówki! (…) A teraz pytanie: kto to krytykuje i dlaczego? Bo jeśli ktoś atakuje SAFE, to atakuje rozwój Polski i silne Wojsko Polskie".

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Gen. Mirosław Różański, próbując naciskać na prezydenta RP, aby podpisał rządową ustawę, powiedział „Rzeczpospolitej": „Tutaj bym przywołał tak mocno powtarzane, nawet i teraz, hasło: murem za polskim mundurem. Prezydent Rzeczypospolitej, może to już jest truizm, co powiem, jest też zwierzchnikiem sił zbrojnych, czyli tym, który tak naprawdę zgodnie z konstytucją kieruje obroną państwa w czasie wojny". I dodał: „Jeżeli już ten spór polityczny, o którym mówimy, się toczy, tak? Ale wojsko zgodnie z artykułem 26, i chcę w to wierzyć, jest poza polityką".

Pan Bóg kule nosi

Tu pojawia się kluczowa kwestia: tak się w naszym coraz mniej wesołym, a coraz bardziej obłąkanym kraju porobiło, że

stanie „murem za polskim mundurem" to zawołanie bojowe różnych partii zarzucających sobie wzajemnie zdradę owego uniformu. Tak się dzieje od lat, a ta choroba wyraźnie się nasila z upływającym czasem.

Przemysław Czarnek, jeszcze znajdując się u steru władzy, grzmiał w 2023 r.: „Plucie na polski mundur i kompletny brak odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polaków to cechy opozycji z Tuskiem".

Ówczesny szef MON Mariusz Błaszczak uderzał w podobne tony, lamentując, że na polsko-białoruskiej granicy „żołnierze byli atakowani z dwóch stron: ze strony białoruskiej przez wykorzystywanie nielegalnych migrantów, ale też niestety ze strony polskich celebrytów związanych ze środowiskiem opozycji, przez panią poseł wybraną do Parlamentu Europejskiego z list Koalicji Obywatelskiej". Po czym pocieszał: „Natomiast naród stanął murem za polskim mundurem, i to jest najważniejsze".

Murem za polskim mundurem stają też organy ścigania, niezwykle życzliwe wobec wojskowych. Kiedy 2 listopada 2023 r. ppor. Ł. w Puszczy Białowieskiej postrzelił Syryjczyka (tzw. nielegalnego imigranta, czyli – powiedzmy szczerze – nie do końca człowieka), za co postawiono mu zarzuty, media ujęły się za nim. Okazało się – co za szczęśliwy traf – że był to czysty przypadek, bo jak pisała niezawodna w takich sytuacjach Edyta Żemła z Onetu, „podczas pościgu za nielegalnym migrantem, który przekroczył granicę RP, żołnierz potknął się, a jego broń wypaliła tak niefortunnie, że postrzelił uciekającego obywatela Syrii". Biegli orzekli, że broń żołnierza miała wady konstrukcyjne powodujące, że mogła wypalić podczas upadku. Prawnicy wojskowego argumentowali, że działał w obronie kraju. Nie dziwota zatem, że wojskowe instytucje wycofały się ze ścigania, czego życzył sobie skądinąd szef MON. Nikomu nie dało do myślenia, że oficer potyka się o własne nogi, toteż dawanie mu – jakoby niesprawnej – broni to nie jest chyba najlepszy pomysł…

Sprawny za to był karabin pijanego 24-letniego żołnierza, przy granicy z Białorusią strzelającego w kierunku cywilnego auta, w którym jechał mężczyzna z 13-letnią córką. Wojskowy uciekł z obozowiska, potem zatrzymał samochód, grożąc, że zabije kierowcę, dziewczynka uciekła z auta, a żołnierz wystrzelił 70 pocisków, z których jeden przestrzelił fotel (na szczęście nikt wtedy na nim nie siedział). Kiedy go złapano, miał dwa promile.

Na szczęście Prokuratura Okręgowa w Olsztynie też była murem za polskim mundurem, wnosząc o umorzenie śledztwa. Jej rzecznik Daniel Brodowski powiedział „GW": „Prokurator wniósł także o zastosowanie wobec tego żołnierza środków zabezpieczających, czyli o umieszczenie tej osoby w odpowiedniej placówce lecznictwa z uwagi na jego chorobę psychiczną; na to, że w związku z nią nie mógł on rozpoznać swojego czynu lub nim pokierować".

Coś pecha mają nasi dzielni wojacy. Albo im karabiny same strzelają, albo nagle stają się niepoczytalni…

W sumie dziwimy się tej ekwilibrystyce prawniczej: przecież wzorem myśliwych, regularnie pobłażliwie traktowanych przez sądy, można by uznać, że najebany żołnierz wziął jadących autem za dziki – w końcu samochoDZIK i luDZIKI…

Czas się opamiętać

Idiotyzmem jest wynoszenie jakiejkolwiek grupy społecznej – czy to księży, czy to żołnierzy – ponad inne, wyjmowanie jej spod jakiejkolwiek krytyki. To musi prowadzić (i prowadzi) do jawnych patologii. Żołnierze są ucieleśnieniem narodu, gdy jest wojna za naszą granicą, pojawia się intuicyjna skłonność, by ich wynosić na piedestał. Trzeba jej się przeciwstawić, także dla dobra samych żołnierzy. Pierdolenie o wojnie na granicy z Białorusią i propaganda, jaką sączy się w umysły żołnierzy i pograniczników tam służących, plus praktyczna gwarancja bezkarności źle wróżą nam wszystkim.

Jak trzeźwo zauważył na łamach „Krytyki Politycznej" filozof kultury i terapeuta Andrzej Leder: „Chcemy, żeby w ramach odpowiedzialności zbiorowej ci nieszczęśnicy, których dręczono już w Syrii, Afganistanie albo Kongu, mieli teraz łamane kości przez dzielnych chłopców z orzełkiem? Naprawdę?! I niech nikt nie myśli, że ci, którzy nauczyli się łamać kości migrantów, nie będą tego umieli robić mieszkankom Warszawy czy Gdańska. Poprzednia władza pokazała dobitnie, łamiąc w Warszawie kości dziecku biorącemu udział w pokojowym proteście, że można to robić również na ulicach polskich miast".

KAT

eprasa.pl 3035c1864a

Cyfrowe pole minowe

Państwo pilnuje sztucznej inteligencji

31 marca minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Maciej Berek obwieścił z dumą, że Polska jako jeden z pierwszych krajów Unii Europejskiej przyjmuje ustawę o systemach sztucznej inteligencji. „Wprowadzamy do polskiego prawa katalog zakazanych praktyk AI" – napisał Berek w social mediach, a dalej było tylko śmieszniej.

Projekt ustawy o systemach sztucznej inteligencji to polski akt wdrożeniowy unijnego rozporządzenia AI Act. Innymi słowy to krajowa implementacja unijnych zasad, które już częściowo obowiązują w UE. Celem nowych przepisów jest nadzór nad rynkiem AI i ochrona obywateli przy równoczesnym zapewnieniu bezpiecznych warunków dla rozwoju nowoczesnych technologii. Nie regulują one jeszcze w pełni systemów wysokiego ryzyka, lecz koncentrują się na szeroko pojętych regulacjach, zakazanych praktykach i mechanizmach egzekucji w przypadku przegięcia cyfrowej pały. Już pierwsze jaskółki zwiastują, że szary Kowalski w starciu z algorytmami zamiast wsparcia państwowej pięści za plecami będzie miał kolosa na glinianych nogach.

Ingerencja w inteligencję

Sztuczna inteligencja jest wykorzystywana niemal w każdej gałęzi gospodarki i życia. Od marketingu i reklamy przez przemysł, bankowość aż po medycynę. Sito unijnych regulacji ma chronić przed dyskryminacją, manipulacją czy nieuczciwymi decyzjami algorytmów. Gdyby ktoś się zastanawiał, jak ta fajna sztuczna inteligencja, która rysuje kotki z puzonem w dupie i wie dosłownie wszystko, może manipulować, warto zerknąć na przypadek firmy Amazon. Przed laty firma Jeffa Bezosa zbudowała narzędzie AI do automatycznego oceniania CV na stanowiska techniczne. System był trenowany na danych z poprzednich 10 lat rekrutacji, gdzie dominowali mężczyźni. W efekcie algorytm systematycznie obniżał ocenę CV zawierających hasło „kobieta". Wystarczyło wpisać w zainteresowaniach, że należało się do kobiecej drużyny koszykówki, żeby z automatu zostać zdegradowaną w wyścigu o stołek. Amazon ostatecznie porzucił narzędzie, bo algorytmu nie dało się naprawić. Algorytm firmy iTutorGroup (platformy edukacyjnej) dyskryminował w procesie rekrutacji nauczycieli online ze względu na wiek i płeć. Program automatycznie odrzucał kobiety powyżej 55. roku życia i mężczyzn powyżej 60 lat. Afera miała finał w ugodzie zawartej z amerykańską komisją ds. równego zatrudnienia i przyznaniu odszkodowań odrzuconym kandydatom. Jakie zabezpieczenia szykuje Polska?

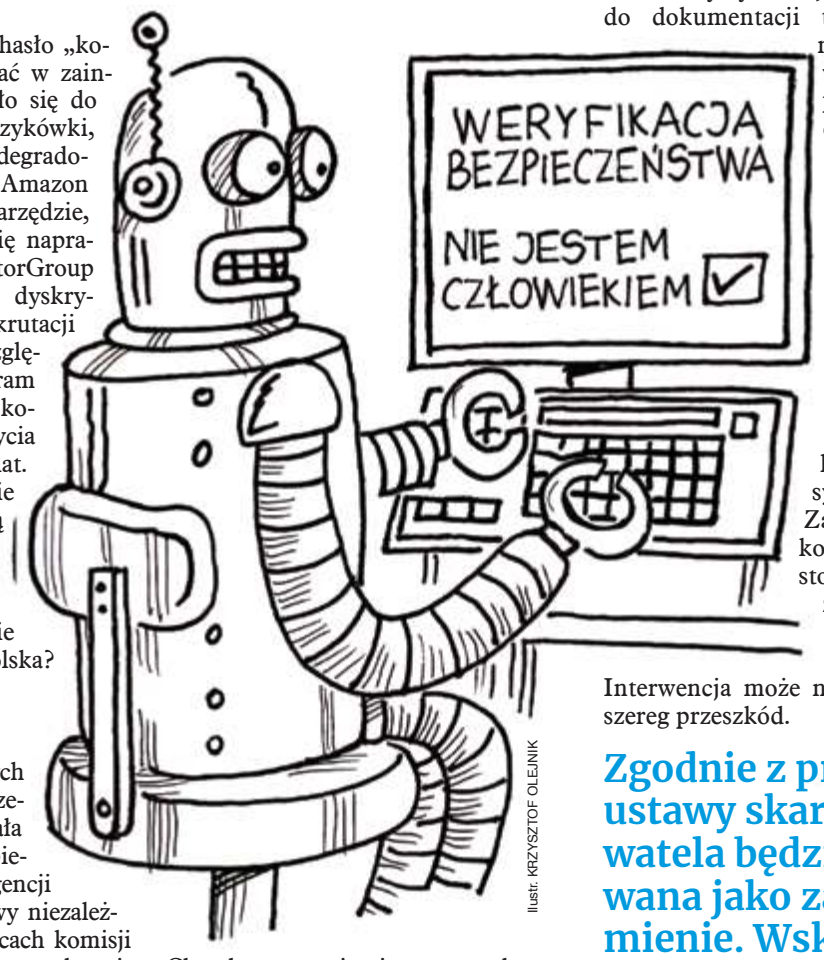

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Organ centralny

W myśl projektowanych rozwiązań na straży przestrzegania zasad będzie stała Komisja Rozwoju i Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji (KRiBSI). Ma to być nowy niezależny organ nadzoru. W pracach komisji uczestniczyć będą m.in. przedstawiciele Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Komisji Nadzoru Finansowego, Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Przy komisji pracować będzie opiniująco-doradcza Społeczna Rada do spraw SI. Wiewiórki donoszą, że resort finansów sprzeciwiał się tworzeniu kolejnej gęby do budżetowego karmienia. Co więcej, specjaliści sugerowali, żeby wzorem innych państw poszerzyć kompetencje innych organów, jak Urzędu Ochrony Danych Osobowych czy UKE, ale kto bogatemu zabroni? Pojawiają się obawy, że centralizacja w jednym nowym urzędzie może prowadzić do rozmycia odpowiedzialności i problemów z pozyskaniem specjalistów (eksperci od AI się cenią). AI Chamber, organizacja samorządu gospodarczego zrzeszająca firmy z Polski i regionu Europy Środkowo-Wschodniej działające w sektorze sztucznej inteligencji, wysunęła swoje wątpliwości. Według izby w organie będzie za mało głosu biznesu i nauki, a skład komisji nie gwarantuje deklarowanej niezależności. Przewodniczącego rady powoła premier w drodze otwartego konkursu.

Świeży centralny krajowy organ nadzoru rynku AI będzie prowadzić postępowania administracyjne, wydawać decyzje, nakładać sankcje, rozpatrywać skargi oraz współpracować z organami UE. Komisja będzie też tworzyć i nadzorować tzw. piaskownice – bezpieczne środowiska testowania AI dla przedsiębiorców. Krawat zawiąże, usunie ciążę. W teorii KRiBSI będzie mogła z urzędu skontrolować system AI w banku lub firmie, jeśli pojawią się sugestie, że komuś odmówiono kredytu, bo jest gejem, albo odrzucono go z rekrutacji z powodu grubej dupy. Brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe i słusznie.

Ajaj EjAj

Najważniejszym mechanizmem obronnym dla obywateli ma być skarga indywidualna. Kiedy wydymany przez algorytm delikwent doniesie KRiBSI o haniebnych praktykach, komisja będzie miała prawo zajrzeć w bebechy systemu, zażądać dostępu do dokumentacji technicznej, danych treningowych cyfrowego potwora, logów decyzji i tak dalej. W przypadku stwierdzenia nagięcia lub złamania zasad organ może nakazać wprowadzenie poprawek do mechanizmu, ograniczenie jego użycia lub całkowite wycofanie systemu z rynku. Za utrudnienia kontroli i perfidne stosowanie zakazanych praktyk przewidziano kary finansowe. Interwencja może niestety napotkać szereg przeszkód.

Zgodnie z projektem ustawy skarga obywatela będzie traktowana jako zawiadomienie. Wskutek tego Kowalski nie stanie się stroną postępowania administracyjnego. Kastruje go to z prawa wglądu do akt, składania wniosków dowodowych czy możliwości odwołania od decyzji komisji.

Na problem zwrócił uwagę rzecznik praw obywatelskich i stwierdził, że taka konstrukcja może uniemożliwić rzeczywiste i skuteczne dochodzenie praw. Wiele naruszeń zwyczajnie ciężko będzie udowodnić. Współczesne modele AI często mają tak rozbudowany i skomplikowany „silnik", że czasem nawet producent nie wie dokładnie, jak on działa. Audyt flaków algorytmu, o ile w ogóle jest możliwy, jest zwykle bardzo kosztowny, czasochłonny i wymaga ogromnej wiedzy technicznej. Czy KRiBSI będzie dysponowała odpowiednim zapleczem do przeprowadzania takich operacji? Mało prawdopodobne. Jeśli urzędnikom nie uda się wyłapać błędów w bebechach, a właściciel oprogramowania rzuci 200 stron (przygotowanego przez siebie) raportu pełnego zapewnień, że model AI działa w zgodzie z prawem, komisja w zasadzie będzie mu mogła skoczyć na dzyndzel. To nie koniec jaj.

Powtórka z Pegasusa

Minister Berek w jednym z punktów reklamujących nadzór nad sztuczną inteligencją zapewnił, że „algorytm nie skazuje", bo wykluczanie i ściganie kogoś wyłącznie dlatego, że profil w bazie danych wskazał na ryzyko, będzie zakazane. Otóż niekoniecznie. Projekt ustawy całkowicie wyłącza spod nadzoru KRiBSI systemy AI używane w obszarach bezpieczeństwa narodowego. Obejmuje to m.in. Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służbę Kontrwywiadu Wojskowego, Służbę Wywiadu Wojskowego itd. Kontrolę nad tymi systemami ma sprawować minister koordynator służb specjalnych. Fundacja Panoptykon i Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji uderzyły na alarm. Brak niezależnego nadzoru w tym wyjątkowo śliskim obszarze może prowadzić do wielu nadużyć wobec obywateli. Ponadto tworzy to podwójny standard: zwykłe firmy i instytucje publiczne będą pod jakimś nadzorem, a służby poza wszelką kontrolą zewnętrzną. Krytycy podkreślają, że nawet w sprawach bezpieczeństwa narodowego powinno obowiązywać bodaj minimum zasad, a wyłączenie powinno być wąskie i precyzyjnie uzasadnione. Do czasu, kiedy pojawią się jakieś nowe regulacje (jeżeli w ogóle), obywatel będzie bezbronny wobec struktur bezpieczeństwa.

Jest jeszcze jeden problem. Jeśli firma ma siedzibę poza Polską, komisja będzie zobowiązana korzystać z mechanizmów unijnych, czyli współpracować z organami nadzorczymi UE. Projekt nie precyzuje, jak ta współpraca ma wyglądać. Giganci technologiczni, jak wiadomo, lubią się bawić w kotka i myszkę z europejską praworządnością. Postępowanie może utknąć na wiele miesięcy lub lat. Jak tam, czujecie się bezpiecznie?

IDALIA DUBICKA

Miasto truskolaskie

Ojcosynowie cd.

Rada miasta Białystok, zgodnie z najnowszym lutowym rozporządzeniem Rady Ministrów w kwestii podwyżek dla pracowników samorządu, podniosła o 600 zł brutto pensję Tadeusza Truskolaskiego, prezydenta tego miasta. To już druga podwyżka jego wynagrodzenia w ciągu pół roku. Wtedy poszło o „wyrównanie inflacji".

Podwyżkę poparło 17 radnych klubu Koalicji Obywatelskiej, przeciwko była dwójka z PiS-u. Pozostali radni od Jarosława Kaczyńskiego wstrzymali się od głosu lub nie wzięli udziału w głosowaniu.

Wieczny prezydent Białegostoku, z wyrównaniem od stycznia tego roku, będzie miał coś trochę ponad 23 tys. zł brutto pensji. Do tego dochodzi praca na Uniwersytecie w Białymstoku, ponad 72-tysięczna emerytura w skali roku (stan na 31 grudnia 2024 r.) i jakieś drobne z Narodowego Instytutu Samorządu Terytorialnego.

Chłop poza tym ma mieszkanie spółdzielcze, garaż i samochód. Oraz sporo gotówki na koncie, tak w euro, jak i w złotówkach. I to wszystko przy formule „majątek odrębny", więc żona ma albo drugie tyle, albo nie ma nic, i robi za kuchtę. Przyznajmy, że to niewiele w stosunku do Donalda Trumpa, ale bardzo dużo, jeśli weźmiemy pod uwagę majątek przeciętnego Białostoczanina.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie o wzbudzanie zawiści na tle majątkowym jednak nam chodzi, ale o konstatację, że najwyżsi rangą samorządowcy prawie nigdy nie rezygnują nawet z tak drobnych podwyżek, przeznaczając je symbolicznie, np. na jakiś wrażliwy społecznie, użyteczny cel. Ale są też wyjątki z ostatniej chwili. Taki na przykład Piotr Kaliszewski, wójt gminy Sułów, pod koniec marca zrezygnował z podwyżki i zdecydował się na pobieranie najniższego dopuszczalnego prawem wynagrodzenia. Swoją decyzję argumentował solidarnością z mieszkańcami oraz faktem, że sprawowanie funkcji traktuje jako służbę, a nie sposób na zarobek. Dodatkowo zadeklarował przekazywanie co miesiąc 1/10 swojej pensji najbardziej potrzebującym mieszkańcom gminy.

Do grona wrażliwych społecznie samorządowców przypiszmy jeszcze Grzegorza Kubika, burmistrza Rawicza. Ten już w październiku 2025 r. złożył wniosek o niepodwyższanie jego wynagrodzenia, co było związane z planowanymi oszczędnościami w budżecie miasta.

Rodzina Truskolaskich z Białegostoku obrasta jednak od niepamiętnych czasów w majątki, prestiż i władzę. Oto syn Tadeusza, Krzysztof, o czym nie zapominamy, trzykadencyjny poseł KO z korzeniami w Nowoczesnej, został przecież niedawno szefem prywatnej partii Donalda Tuska na Podlasiu.

Łatwo mu było, bo nikt nie śmiał mu podskoczyć i jako jedyny kandydat w wyborach na przewodniczącego regionu nie miał żadnej konkurencji. Mówiło się co prawda w kuluarach o byłym pośle Robercie Tyszkiewiczu, dawnym wieloletnim szefie Platformy Obywatelskiej w Polsce B, ale ten widać trafnie przekalkulował ryzyko i nie zamierzał juniorowi odbierać radości do bycia monarchą absolutnym.

Tym bardziej że Tyszkiewicz po bolesnej porażce w wyborach do sejmu w 2023 r. został etatowym doradcą marszałkini senatu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej ds. Polonii, do emerytury ma dwa lata, więc po co mu fikać, kiedy ma taką nudną, ale spokojną robotę?

Młody Truskolaski jest za to na fali, bo okazał się wyjątkowo skuteczny w odebraniu Kaczyńskiemu sejmiku województwa podlaskiego w 2024 r., kiedy to wspólnie z wojewodą podlaskim Jackiem Brzozowskim przeciągnęli na stronę „demokratycznej koalicji" dwójkę pisowców. A następnie uczynili z nich marszałków, którymi ci byli notabene jeszcze za władzy pisowsko-ziobrowej prawicy na Podlasiu, i zbudowali prorządowy zarząd województwa podlaskiego. To się ceni i tego się przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie nie zapomina.

Krzysztof Truskolaski w tych wyborach wziął 88 proc. głosów wszystkich członków Koalicji Obywatelskiej w regionie, w strukturach powiatowych zaś w zasadzie wszyscy jego ludzie również odnieśli zwycięstwo, więc ma powód do satysfakcji.

– Chciałbym podziękować wszystkim, którzy wzięli udział w tym święcie demokracji. Ale również chciałbym podziękować za ten ogromny mandat zaufania – wypowiedział się zabawnie dla „Kuriera Porannego" zaraz po ogłoszeniu wyników, co świadczy dobitnie o tym, że nie tylko autorytaryzmy na poziomie państw lubią ten ukochany przez Winstona Churchilla rzeczownik.

Truskolaski jr to bardzo prawdopodobny kandydat KO na prezydenta stolicy Podlasia w 2029 r., jeśli jakimś cudem noga powinęłaby mu się w wyborach do sejmu za rok z górką.

Jego osobisty ojciec za to nie wyklucza, o czym już kiedyś pisaliśmy, startu do sejmiku województwa podlaskiego. Może więc tym razem zostać marszałkiem i zmienić tytulaturę na nie mniej zaszczytną.

JMP

eprasa.pl 3035c1864a

Narodowy Fundusz Zdrowia szuka kolejnych ofiar do zgilotynowania

Chorymi po brzytwie

Wraz z początkiem kwietnia na mocy rozporządzenia prezesa NFZ weszła zmiana w finansowaniu świadczeń ponadlimitowych (nadwykonań) w ambulatoryjnej opieki specjalistycznej oraz zaawansowanej diagnostyce, m.in. tomografii czy gastroskopii. Oznacza to, że fundusz zapłaci 50–60 proc. stawki za każde badanie wykonane przez placówkę medyczną ponad limit określony w kontrakcie (o sprawie pisaliśmy szerzej w „NIE", nr 11/2026). Manewr ma przynieść NFZ 625 mln zł oszczędności. W praktyce oznacza ograniczenie diagnostyki i wydłużenie kolejek, a w dłuższej perspektywie depopulację mniej zamożnych pacjentów. – Jestem zdegustowana słowami o umieraniu ludzi, bo nie znam takich sytuacji, że z powodu jakichkolwiek ograniczeń, cięć ktoś umarł – stwierdziła 2 kwietnia wiceminister zdrowia Katarzyna Kacperczyk na antenie RMF FM i zaapelowała, by „szczególnie przed świętami nie straszyć ludzi umieraniem, bo jest to wysoce nieetyczne".

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Z obrzydzenia do polityków jeszcze nikt nie umarł, ale trzeba przyznać, że nie ustają oni w staraniach o ten efekt. Ciśnienia krytyki cięć zagrażających życiu obywateli nie wytrzymał też poseł, były minister zdrowia, Bartosz Arłukowicz. W ostatnich dniach marca gruchnęła wiadomość o zawieszeniu przyjęć nowych pacjentów na oddział onkologii Szpitala Powiatowego w Krotoszynie. Zaraczeni mają zostać przeniesieni do szpitali w Kaliszu, Pleszewie i Śremie, gdzie będą mogli kontynuować chemioterapię. Według wszelkich doniesień krotoszyńska onkologia ze względu na brak opłacalności zostanie bowiem zlikwidowana. Sprawę nagłośnił na X rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej lekarz onkolog Jakub Kosikowski. Odpisał mu Arłukowicz: „Rozumiem, że gdyby ktoś z pańskich bliskich (czego nie życzę) zachorował na czerniaka, glejaka czy raka żołądka, z czystym sumieniem wysłałby pan chorego na diagnostykę i leczenie do szpitala powiatowego w Krotoszynie. Dobrze rozumiem pana doktora?". Cóż, nie wszyscy mają dostęp do szpitala MSWiA w Warszawie – jak pech, to pech.

Tymczasem Ministerstwo Finansów przykręca śrubę w ochronie zdrowia. Resort zgłosił szereg uwag m.in. do procedowanych obecnie projektów ustaw o e-zdrowiu i Krajowej Sieci Onkologicznej. Obydwa programy są hojnie finansowane z unijnego paśnika w ramach KPO. Dlaczego zatem pacjent jest pogrzebany?

Odblokowanie forsy z KPO to powód do dumy koalicji rządzącej. Jednak to, co fajnie wygląda na bilbordach i w strategii komunikacyjnej z ludem, ma swoje wymogi formalne.

Narodowy Fundusz Zdrowia w coraz mniejszym stopniu jest finansowany z dochodów składkowych. Z roku na rok generuje większą dziurę finansową, którą trzeba pokrywać dotacjami z budżetu państwa lub pozostałych funduszy.

Na tę okoliczność trzeba było zintegrować planowanie kosztów i przychodów funduszu z procesem budżetowym i regułami fiskalnymi służącymi zapewnieniu stabilności finansów publicznych. Tłumacząc na nasze: tak ogarnąć bajzel, żeby nie pociągnął na dno reszty. Instrumentem dyscyplinującym ten chaos jest Stabilizująca Reguła Wydatkowa (SRW). Głównym jej celem jest utrzymanie stabilnej relacji między wydatkami i dochodami państwa poprzez ograniczenie nadmiernego deficytu budżetowego. Obowiązek posiadania takiego narzędzia fiskalnego wynika wprost z prawa UE. Warto wiedzieć, że SRW nie jest narzuconą przez Brukselę regułą, Polska sama wybrała jej formułę. SRW działa jako krajowy hamulec na wydatki zgodny z oczekiwaniami Komisji Europejskiej co do wspomnianej stabilności finansów publicznych. Ich transparentność była wymogiem dla uzyskania pieniędzy z KPO.

NFZ podlega SRW od stycznia 2026 r. Mechanizm wygląda następująco: do tej pory minister zdrowia mógł w ciągu roku dowolnie zmieniać plan finansowy NFZ – np. wtedy, gdy wpływały dodatkowe pieniądze ze składki zdrowotnej lub dotacji budżetu państwa. Obecnie, jeśli będzie chciał dołożyć – dajmy na to – 2 mld zł do funduszu, to w ramach równoważenia budżetu trzeba będzie je zabrać z innego sektora działalności państwa, np. edukacji. Będzie to decyzja polityczna. Nie będzie już tak łatwo (jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi) dosypywać pieniędzy do wora bez dna. Bez tych finansowych dokładek dostępność do świadczeń nie będzie mogła być utrzymana. Wydatki funduszu nie mogą rosnąć szybciej niż limit ustalony regułą fiskalną. Kłopot w tym, że rosną lawinowo.

Resort finansów uważnie ogląda każdą budżetową złotówkę i zadaje Ministerstwu Zdrowia niewygodne pytania o koszty planowanych rozwiązań. Weźmy tę smutną onkologię. Politycy od tygodni zapluwają się w mediach, że cięcia limitowe nie dosięgną chorych na raka. Gówno prawda. NFZ zapewnia, że posiadacze tzw. karty DILO, „przepustki", która umożliwia szybszą diagnostykę i leczenie nowotworów złośliwych, nie wpadną w ograniczenia kosztów nadwykonań. W teorii dlatego, że będą mieli pierwszeństwo w kolejce do badań. Pomijając fakt, że aby w ogóle DILO dostać, trzeba wpierw wykonać szereg badań – diagnoza to początek imprezy. Zamykanie oddziałów onkologicznych w wyśmiewanych przez Arłukowicza szpitalach powiatowych spiętrza pacjentów w innych placówkach. Nikomu nie trzeba też tłumaczyć, że im bliżej domu prowadzona jest chemioterapia, tym lepiej dla pacjenta. Na dokładkę pacjent w remisji i tak trafi na koniec zwykłej kolejki, więc w przypadku wznowy choroby może mieć niemiłą w skutkach niespodziankę.

Stabilizująca Reguła Wydatkowa nie wprowadza bezpośrednich cięć w finansowaniu leczenia nowotworów, ale mocno ogranicza elastyczność NFZ w zwiększaniu nakładów na ich leczenie. Tym samym wszelkie dodatkowe wydatki, np. na nowe terapie, muszą być kompensowane cięciami w innych obszarach budżetu. Rząd od początku kadencji maluje przed chorymi wizję zajebistej Krajowej Sieci Onkologicznej, finansowanej – a jakże – z KPO. Około 5,2 mld zł ma zmodernizować 102 szpitale w sieci. Kasa ma pójść na centra wysokospecjalistyczne, infrastrukturę i sprzęt. Są to jednorazowe inwestycje majątkowe, częściowo neutralne dla SRW. Kłopot polega na tym, że po wygaśnięciu unijnego finansowania państwo może mieć problem z utrzymaniem nowinek: systemów, etatów itd. Wąty Ministerstwa Finansów wobec nowelizacji ustawy o Krajowej Sieci Onkologicznej dotyczyły przede wszystkim konieczności doprecyzowania, że planowane w nich rozwiązania nie będą generowały dodatkowych kosztów. Resort zdrowia odbija piłeczkę, argumentując, że projekt jest niezbędny z punktu widzenia modernizacji systemu, ale też zobowiązań wobec UE. Opóźnienia lub ograniczenia mogą bowiem zagrozić realizacji, a w konsekwencji doprowadzić do utraty finansowania. Przy napiętym jak guma w gaciach krajowym budżecie może się zaraz okazać, że wszystkie te gigantyczne inwestycje skończą jako wydmuszki. Chyba że oba resorty mocniej przytną: to tu, to tam. Lista jest długa, a możliwości bez liku. Wiceminister Kacperczyk jeszcze się trupów doczeka.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Egzamin na mięso armatnie

Trepowisko trzęsawisko cd.

2 kwietnia na wojskowej, zamkniętej dla ciekawskich części Okęcia w Warszawie zorganizowano przyjęcie wielkanocne dla ponad setki gości. I generałów (np. gen. Mieczysław Bieniek) z politykami drugiego rządowego garnituru spotkał ponownie zawód. Zaproszenie dostał – tak jak na ostatni bożonarodzeniowy opłatek w tym samym miejscu – prezydent Karol Nawrocki, ale znowu je zignorował.

Mamy na to swoją teorię. Organizatorami jajeczka w mundurku w 1. Bazie Lotnictwa Transportowego przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie jest Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych, a jest to towarzystwo, które stawiało w ostatnich wyborach na Rafała Trzaskowskiego i wcale się z tym nie kryło. Batyr to wie i swoją niechęć w ten sposób ostentacyjnie demonstruje.

Bliżej mu ciągle do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i jej szefa gen. Wiesława Kukuły. Bo to jeszcze pisowski zaciąg z jej ubiegłorocznym, świeżym nabytkiem w osobie rzecznika prasowego sztabu pułkownika Marka Pietrzaka. Z przeszłością oficera prasowego Wojsk Obrony Terytorialnej, za czasów, kiedy resortem obrony kierował Mariusz Błaszczak.

Mainstreemowe media co prawda donosiły, że w momencie, kiedy ważyły się losy rządowego SAFE-u, Kukuła z protrzaskowskimi generałami namawiał Nawrockiego, żeby nie wetował sejmowej ustawy pozwalającej na zalanie Polski bronią, którą spłacalibyśmy dziesięcioleciami, ale stara miłość nie rdzewieje. Kukuła to nadal pisowski element w kierownictwie resortu obrony, wyjątkowo lojalny wobec Nawrockiego.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

• • •

Szweje z dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, często 18-latkowie po podstawówce, jak i 50-letni polscy hippie (znamy takich), którzy poczuli nagle miętę do łatwej, pewnej kasy co miesiąc, szykują się do końcowego egzaminu. Trzeba będzie mieć wyjątkowego pecha, żeby go nie zaliczyć, bo 300-tysięczna armia, jaka marzy się militarystom w tym i poprzednich rządach, nie może sobie pozwolić na utratę tak cennego mięsa armatniego.

„Szkolenie żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej koncentrowało się na kluczowych umiejętnościach praktycznych, gdzie istotne były opanowanie, precyzja oraz bezwzględne przestrzeganie obowiązujących procedur" – czytamy w aktualnościach na oficjalnej stronie Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, gdzie lakonicznie wskazano też przedmioty egzaminacyjne: „Pod nadzorem instruktorów uczestnicy doskonalili m.in. nawigację w terenie, prawidłowe zakładanie maski przeciwgazowej oraz wykonywanie okopu".

I ani słowa o tym, że szef tej struktury wojskowej gen. broni Marek Sokołowski po cichu udał się ostatnio z wizytą do Korei Południowej, skąd obficie od lat kupujemy broń, w tym np. czołgi K2 i rakiety przeciwlotnicze KM-SAM. Być może chodzi o zwiększenie dostaw w ramach renegocjacji wieloletnich umów. Kiedy Amerykanie obficie przepalają w Zatoce Perskiej sprzęt wojskowy, ich fabryki zbrojeniowe robią bokami i jak ostatnio doniosła „Rzeczpospolita",

naciskają na Tuska, żeby wypożyczył im do zabijania Irańczyków trochę tych zabawek, które od nich kupujemy. W tym kilka systemów przeciwlotniczych Patriot.

Rząd nieoficjalnie zaprzecza, jakoby uległ tym perswazjom, ale stawiamy dolary przeciw orzechom, że wcześniej czy później to raczej nastąpi. Stąd i Sokołowski w Korei, bo i skąd taka wizyta na chwilę przed Wielkanocą? Żeby uzupełnić w razie czego zapasy – zgadujemy – bo Korea Południowa robi broń taniej i szybciej niż USA.

JMP

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki rozpoczął misję tłumaczenia postępowania prezydenta Karola Nawrockiego, który odebrał ślubowanie od dwojga nowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, a od czworga ślubowania odebrać nie zechciał.

– Prezydent – powiedział Bogucki – podjął taką decyzję na podstawie oceny kandydatów, ich życiorysów i przedstawionych dokumentów uzyskanych z Pegasusa od europosłów Kamińskiego i Wąsika.

W tym samym czasie ponad dwa tysiące naukowców ze Światowego Centrum Monitorowania Głupoty (WAOC – World Absurdity Observation Center) wstrzymały oddech: jeśli Boguckiemu się powiedzie, będzie to największe osiągnięcie w historii ludzkości. Oto żywy człowiek oddali się na rekordową odległość od rozumu.

W Trybunale Konstytucyjnym znajdowało się dziewięciu sędziów, konstytucyjny skład to 15 sędziów, dlatego prezydent postanowił uzupełnić skład o dwóch: do 11 sędziów. Howgh – wyjaśnił Bogucki.

Uczeni z WCOA przypomnieli, że do tej pory rekord w mentalnych podróżach na skraj absurdu należał do człowieka z Timbuktu, który żył z tego, że najpierw tanio kupował od siebie ogórki, a potem drogo je sobie sprzedawał.

Sejm nie wskazał, kiedy zaczyna się kadencja sędziów, za kogo dany sędzia wchodzi do Trybunału Konstytucyjnego. A przecież wnioskowanie o wybór sędziów powinno odbywać się na 30 dni przed upływem kadencji sędziego, a nie rok i trzy miesiące po upływie tej kadencji. Dlatego prezydent przyjął ślubowanie od właśnie tych dwojga sędziów – tak decyzję głowy państwa uzasadniał szef jej kancelarii. Dodał, że na razie nie wiadomo, co z przyjęciem ślubowania od pozostałych czworga sędziów Trybunału Konstytucyjnego, którzy sędziami właściwie nie są, lecz niewykluczone, że nimi zostaną po spełnieniu kilku warunków, w tym po sprzężeniu pól kwantowych z dodatkowym skalarnym polem kwantowym, w wyniku czego poprzez spontaniczne złamanie symetrii bezmasowe cząstki modelu standardowego nabiorą masy. Chodzi o uznawany przez prezydenta Nawrockiego bozon Higgsa.

W tym momencie cały naukowy świat jedyne, co mógł uczynić, to wstać i wznieść niekończące się owacje na cześć wszechświatowej durnoty i jej nowego rekordzisty.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 3035c1864a

Rekiny czy świnie?

Gdy sztuczna inteligencja zastępuje pracownika

ETYKA BEZBOŻNA

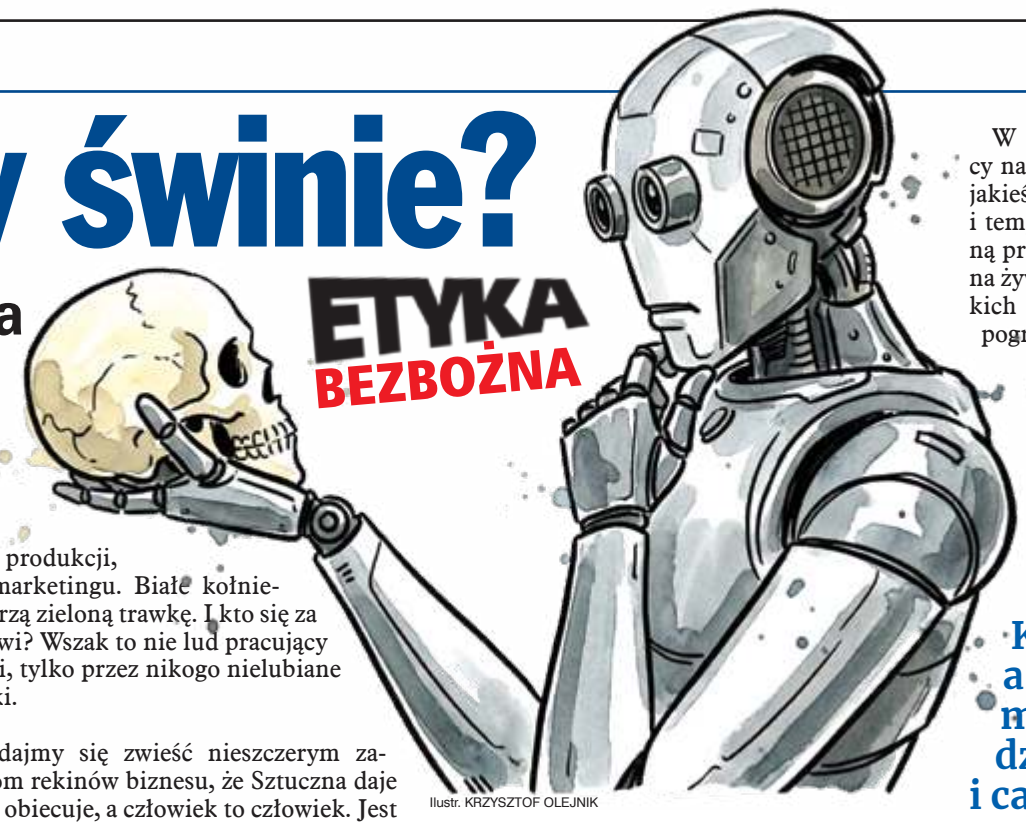

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Amerykański Oracle zwolnił prawie co piątego pracownika. Bez ceregieli – po prostu przyszedłeś do pracy, a tam w skrzynce mailowej czekała na ciebie wiadomość, że możesz iść do domu. Jesteś niepotrzebny, bo teraz twoją robotę będzie wykonywać AI, czyli SI, czyli sztuczna inteligencja. Dla przyjaciół Sztuczna.

Domino ruszyło. W ciągu kilku lat zaczną się masowe zwolnienia w wielkich i małych firmach, a miliony specjalistów zasilą dość wątłe i przerzedzone dziś (na szczęście) zastępy bezrobotnych. Zaczną się… No, już się zaczęły. Ale to przecież dopiero początek. Na razie w biznesie panuje względny spokój. Tłuste fisze, czyli właściciele, oraz ich podstarzali CEO, czyli prezesi, nie ufają „technologicznym nowinkom", jak chcieliby widzieć Sztuczną. Smażąc się na pokładach swych jachtów lub zapadając się w fotelach za wielkimi biurkami w swoich wieżowcach wmawiają sobie i swoim akcjonariuszom, że człowiek to człowiek, a Sztucznej to trzeba pilnować, żeby nie narozrabiała i w ogóle. A tak naprawdę to patrzą jedni na drugich: kto odważy się pierwszy? Wiadomo, że ci, którzy jako pierwsi zdecydują się na przerzedzenie swoich kadr i zastąpienie „zasobów ludzkich" programami komputerowymi, będą popełniać błędy. Zwolnią nie z tego, co trzeba, działu, zainstalują nie to, co potrzeba, oprogramowanie albo zderzą się z buntem w firmie. Jednakże na tych błędach bardzo szybko (z pomocą Sztucznej, a jakże!) uczyć się będą następni i już bez wielkiego strachu powtórzą gest pionierów.

A kolejni po prostu nie będą mieli wyjścia. Już dziś szacuje się, że w wielu branżach będzie można (ale czy trzeba?) zwolnić ponad połowę „umysłowych" – z rachunkowości, logistyki, organizacji produkcji, a nawet marketingu. Białe kołnierzyki upstrzą zieloną trawkę. I kto się za nimi wstawi? Wszak to nie lud pracujący miast i wsi, tylko przez nikogo nielubiane korpoludki.

Nie dajmy się zwieść nieszczerym zapewnieniom rekinów biznesu, że Sztuczna daje mniej, niż obiecuje, a człowiek to człowiek. Jest tylko kwestią czasu, gdy algorytmy będą pod każdym względem przewyższać nawet najbardziej kreatywnych pracowników. Bo też Sztuczna to taka bestia, która wyjątkowo dobrze się sprawuje, gdy potrzeba czegoś nowego i niestandardowego. Człowiek ma opory i skrupuły, nie mówiąc o przyzwyczajeniach i poczuciu odpowiedzialności. A Sztucznej możesz powiedzieć: „Bądź szalona!" i będzie szalona! Zrobi dla ciebie wszystko.

O dewastującym wpływie rewolucji AI na rynek pracy mówi się od dawna, ale nic się z tym nie robi. A to przecież nie jest jakiś tam kryzys, który minie jak zła koniunktura albo nieurodzaj. To zmiana strukturalna, za którą pójdą głębokie i trwałe zmiany społeczne. Jeśli nie chcemy, żeby życie co dziesiątego spośród nas zostało zdewastowane, ze wszystkimi tego dramatycznymi konsekwencjami, łącznie z samobójstwami, musimy coś zrobić. Ale co?

Przed takim wzywaniem moralnym światowy biznes nie stanął jeszcze nigdy. Redukcja kosztów i związana z nią redukcja zatrudnienia to przecież zwykła sprawa – każda zmiana technologiczna stanowi po temu sposobność i każda ją też wymusza. Tylko że teraz nie chodzi o nową maszynę, która zastąpi człowieka, mogącego zająć się czymś mądrzejszym, lecz o program komputerowy, który zastąpi człowieka – zbyt ograniczonego, by nadal zajmować się czymś, co robi za wolno, za głupio i za drogo. To nowy poziom „niepotrzebności" i nowa, nieznana skala zastępowania człowieka przez coś nieludzkiego. Tym razem – nieludzkiego, lecz jakże do człowieka podobnego. A to boli tym bardziej. Rewolucja AI jest wielkim upokorzeniem ogarniającym cały nasz gatunek.

Gdy chodzi o zagrożony rynek pracy, to nie obędzie się bez wielkich programów osłonowych i regulacji spowalniających proces przestawiania się firm na działanie oparte na AI. Jednakże to nie wystarczy. Interwencjonizm państwowy i regulacje narzucane przez państwa są kosztowne i wypychają firmy do krajów, gdzie takich obostrzeń nie ma. Dlatego wyzwanie moralne muszą podjąć sami właściciele przedsiębiorstw i akcjonariusze.

W każdej branży główni konkurenci, mający największe udziały w rynku, muszą zawrzeć jakieś porozumienie odnośnie do sposobów i tempa przechodzenia na działalność wspieraną przez sztuczną inteligencję. To nie może iść na żywioł. Zwalnianie połowy załogi we wszystkich korporacjach z danej branży to nie tylko pogrom, lecz także cios w morale całej branży odbijający się na jej wizerunku. W pewnym sensie to się nawet nie opłaci.

Jednakże etyka nie jest od tego, żeby się wizerunkowo, a w ostatecznym rozrachunku również finansowo opłacać. Etyczny biznes jest celem sam dla siebie, a duma uczciwej firmy jest nie do sprzedania ani nie do kupienia.

Każdy, kto ma firmę, a nie jest świrem, rozumie, że jego siłą są ludzie, których zatrudnia, i cały prestiż tudzież satysfakcja, jakie ma ze swojego biznesu, zaczynają się od tego, że dobrze traktuje pracowników i że oni z tego powodu go szanują.

Uniknięcie moralnej katastrofy, jaką byłoby domino masowych zwolnień w całej branży, jest w osobistym interesie właścicieli.

Być może jeszcze nigdy w historii morale kapitalistów nie zostało wystawione na taką próbę jak dzisiaj, gdy Oracle dał sygnał do wielkich czystek. Nie mam wielkiego zaufania do bogaczy, ale znam ich na tyle, żeby wierzyć w ich moralny narcyzm. W zasadzie żaden z nich nie chce być świnią ani za świnię być uważany. A skoro tak, to ich problem u zarania rządów Sztucznej można streścić w tych dosadnych słowach: Jak przetrwać w biznesie i się nie ześwinić? Z całym szacunkiem dla świń.

JAN HARTMAN

Wolność wykluczania

Miłośnicy konstytucji jakoś nie zwrócili uwagi, że obowiązuje ona jakby mniej.

Dyskryminacja w Polsce nie dość, że nie przestała być problemem, to stała się produktem. Najpierw nieśmiało, gdzieś na obrzeżach rynku usług, potem coraz śmielej, aż w końcu weszła do głównego nurtu gospodarki, gdzie dziś funkcjonuje jak każdy inny segment – ma swoją ofertę, swoją klientelę i swoje wskaźniki sprzedaży.

Jeszcze na początku poprzedniej dekady sprawa była względnie prosta. Obowiązywał art. 138 kodeksu wykroczeń, który mówił, że kto „zajmując się zawodowo świadczeniem usług, umyślnie bez uzasadnionej przyczyny odmawia świadczenia, do którego jest obowiązany", podlega karze. Przepis był kulawy, rzadko stosowany, ale istniał i stanowił coś w rodzaju straszaka. Restaurator, hotelarz czy usługodawca wiedział, że teoretycznie może mieć problem, jeśli zacznie dobierać klientów według własnego widzimisię.

Praktyka była oczywiście inna. Selekcje w klubach działały, dzieci bywały niemile widziane, a różne regulaminy skutecznie odstraszały niepożądanych gości. Tyle że wszystko to odbywało się półgębkiem, z lekkim poczuciem, że jednak trochę się nagina prawo. To poczucie zniknęło w momencie, gdy sprawa łódzkiego drukarza trafiła na polityczne salony. Odmowa wykonania usługi dla organizacji LGBT, wcześniejsze wyroki sądów i wreszcie wejście do gry prokuratora generalnego zakończyły się wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego z 2019 r., który uznał art. 138 za niezgodny z konstytucją. Oficjalnie chodziło o ochronę wolności sumienia przedsiębiorcy. W praktyce oznaczało to, że zniknął jedyny przepis, który karał za odmowę świadczenia usług.

Psów i dzieci nie obsługujemy!

Rynek zrozumiał to szybciej, niż prawnicy zdążyli napisać komentarze. Najpierw eksplodowały restauracje bez dzieci. Zjawisko, które wcześniej było niszowe, po 2019 r. zaczęło się rozlewać po całym kraju. Analizy i obserwacje branżowe wskazywały, że w dużych miastach nawet co czwarta knajpa wprowadzała ograniczenia wobec rodzin z dziećmi. W miejscowościach turystycznych – gdzie klientem podstawowym jest przecież rodzina – zakaz obowiązywał w około 10 proc. lokali. I co najważniejsze, te lokale nie bankrutowały. Wręcz przeciwnie. Jak wynika z opisów rynku gastronomicznego, hejt wylewany na nie w społecznościówkach działał jak darmowa kampania reklamowa. Im więcej oburzenia, tym więcej klientów, którzy chcieli zjeść w ciszy. Restauratorzy szybko zrozumieli, że *child free* to nie ryzyko, tylko szansa na zysk.

Rys. TOMASZ WIATER

Wbrew pozorom nie chodzi tu tylko o ciszę. Właściciele takich lokali tłumaczą, że chodzi o „komfort doświadczenia kulinarnego", „estetykę przestrzeni" i „profil klienta". Klienci z kolei mówią, że chcą zjeść obiad bez hałasu – i płacą za to więcej. Bo jak pokazują relacje i opinie, jedzenie w takich miejscach wcale nie jest obiektywnie lepsze, tylko odbierane jako lepsze. Nie ma magicznego przepisu na stek bez dzieci. Jest natomiast coś, co psychologowie nazywają komfortem percepcyjnym. Klient, który nie słyszy krzyku i nie widzi bałaganu, ocenia tę samą potrawę wyżej. Kiedy nikt nie kopie w krzesło i nie wylewa soku na obrus, nawet przeciętny makaron zaczyna smakować jak danie z gwiazdką Michelina. A za to klient jest gotów zapłacić więcej.

Dokładnie ten sam mechanizm zadziałał w turystyce. Oferty *adults only* przestały być egzotyką i stały się jednym z głównych produktów biur podróży. Szacunki pokazują, że nawet około 20 proc. wyjazdów jest kierowanych wyłącznie do dorosłych. Hotele reklamują się ciszą, spokojem i „dojrzałą atmosferą", a klienci potwierdzają, że rzeczywiście dostają to, za co płacą.

Relacje z takich miejsc są niemal identyczne. Brak dzieci oznacza brak hałasu przy basenie, brak kolejek do zjeżdżalni i brak grupowych zajęć dla małolatów, które bardziej przypominają festyn w przedszkolu niż wypoczynek. Zamiast tego są SPA, alkohol i cisza. Czy to jest obiektywnie lepsze? Nie, jest po prostu inne.

Enklawa najlepszych

Najbardziej spektakularnym przykładem komercjalizacji dyskryminacji stała się deweloperka. Osiedla dla seniorów przeszły praktycznie bez echa – wytłumaczono je starzeniem się społeczeństwa i potrzebą ciszy. Nikt nie zapytał, czy wykluczanie młodszych jest zgodne z prawem, bo skoro działa i się sprzedaje, to znaczy, że jest potrzebne.

Znacznie ciekawszy jest rozwój osiedli ideologicznych. Podkrakowskie Osiedle Fatimskie było pierwszym sygnałem, że można sprzedawać mieszkania razem z wartościami. Lokale rozeszły się błyskawicznie, a mieszkańcy stworzyli społeczność opartą na wspólnej modlitwie i religijnym stylu życia. Dla jednych to przykład integracji, dla innych zamknięta bańka.

Po 2022 r. pojawiły się kolejne inwestycje, które ten model rozwijają. Najbardziej znanym przykładem jest projekt osiedla Przystań reklamowany jako przestrzeń dla ludzi, którzy chcą żyć „na trwałym fundamencie wiary w Boga". Każdy dom ma swojego patrona, w fundamentach umieszcza się medaliki, a marketing odwołuje się wprost do religijnej tożsamości. Nikt nie mówi, że niewierzący nie mają wstępu, ale przekaz jest jasny.

Relacje z takich osiedli pokazują, że życie tam rzeczywiście różni się od standardowego blokowiska. Mieszkańcy organizują wspólne pacierze, celebrują razem wydarzenia religijne i spotkania sąsiedzkie. Wspólnota jest silna, ale jednocześnie bardzo jednorodna. A jednorodność zawsze oznacza selekcję, nawet jeśli nikt jej oficjalnie nie ogłasza.

Deweloperzy sprawdzili, czy można pójść dalej. Badania rynku, które zamawiano po sukcesie pierwszych takich inwestycji, pokazały, że inne grupy – na przykład osoby LGBT czy niekatolickie mniejszości religijne – nie mają ochoty na tworzenie własnych osiedli. Dlatego, że boją się reakcji społecznej, czyli zamknięcia w getcie. O ile więc jedni mogą się dobrowolnie izolować i tworzyć własne enklawy, o tyle inni nawet nie próbują. A to oznacza, że równość istnieje tylko na papierze, skądinąd w konstytucji, gdzie zapis jest jednoznaczny: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiejkolwiek przyczyny".

Nie ma tam żadnych wyjątków. Brak zapisów o dzieciach, seniorach czy wierzących. Nie ma klauzuli; „chyba że to się opłaca". Ale praktyka ostatnich lat pokazuje, że ten przepis pełni funkcję dekoracyjną. Bo po usunięciu art. 138 kodeksu wykroczeń państwo nie stworzyło żadnego realnego mechanizmu przeciwdziałania dyskryminacji w usługach. Ochrona została rozproszona między przepisy cywilne, regulacje antydyskryminacyjne i ogólne zasady prawa, które w praktyce są trudne do wyegzekwowania. Klient, który czuje się wykluczony, musi iść do sądu i udowodnić naruszenie swoich dóbr osobistych. Przedsiębiorca ryzykuje niewiele, klient wie, że może zmarnować czas i pieniądze.

Polska legislacja od lat produkuje przepisy, które zawsze mogą się przydać, lub po to, żeby kogoś udupić, albo w celu zrobienia jakiejś efektownej pokazówki. Problem polega na tym, że w przypadku dyskryminacji nie ma nawet tej pokazówki.

Powstała Polska, w której można mieć restaurację bez dzieci, hotel bez dzieci, osiedle bez „niewłaściwych" sąsiadów i ofertę turystyczną dla wybranych. Politycy nie reagują, bo nie mają interesu. Jedni boją się naruszyć wolność gospodarczą, inni – wolność religijną, a jeszcze inni po prostu uznają, że skoro ludzie tego chcą, to nie ma problemu.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 3035c1864a

Raport o emocjach i populizmie w Polsce

Bezwstydnicy spoza stolicy

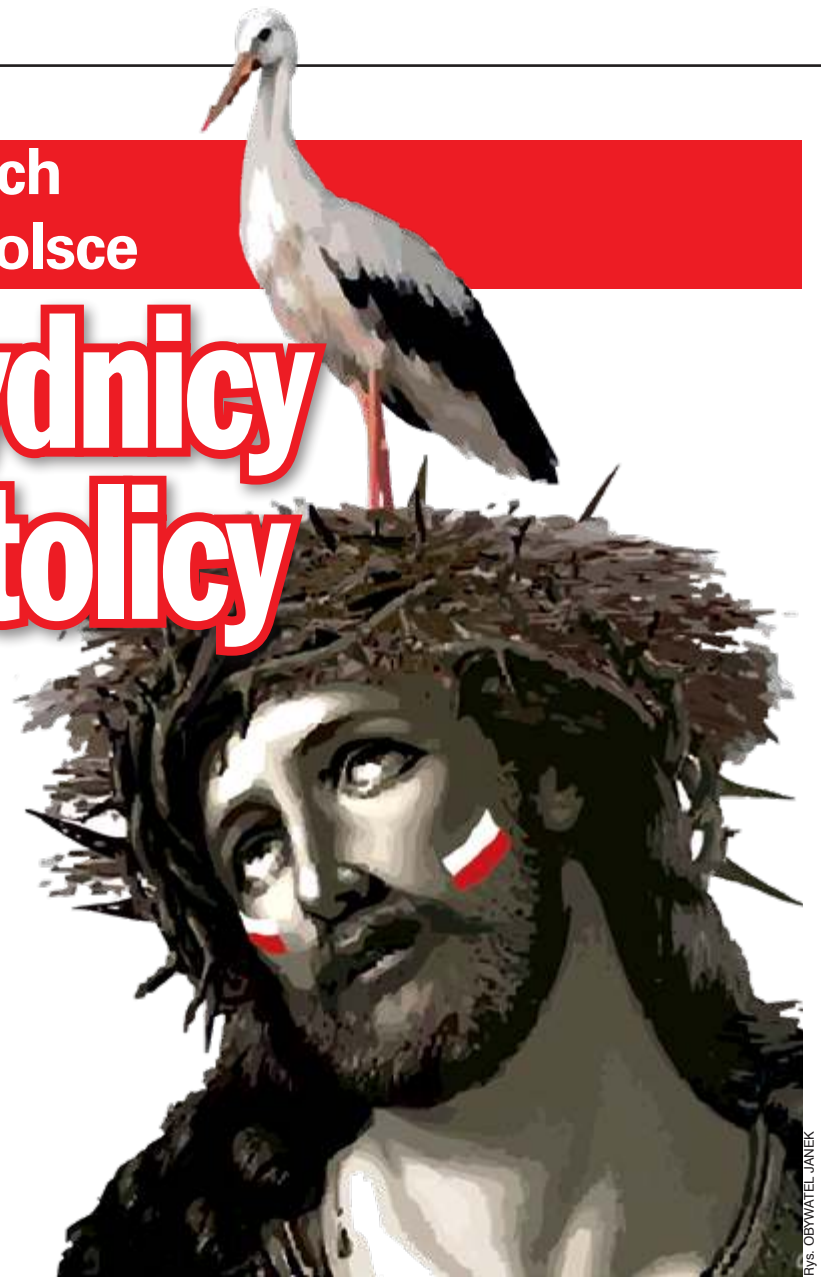

Rys. OBYWATEL JANEK

Jeżeli tzw. demokraci nie chcą tylko czekać na rządy Kaczyńskiego, Mentzena, Bosaka i Brauna (chyba że Tusk chce dogadać się z konfiarzami, dla dobra Polski, rzecz jasna), to powinni sięgnąć po najnowszy raport z badań Przemysława Sadury, Julii Szostek i Michała Sutowskiego „Ludzie bezwstydni. Dynamika emocjonalna populizmu w Polsce". Trójka lewicowych autorów związanych z „Krytyką Polityczną" bierze byka za rogi, zajmując się istotną, choć zawsze nieostrą kwestią tego, co ludzie czują.

Jak wyjaśniała Szostek, autorzy inspirowali się książką Arlie Russell Hochschild „Skradziona duma. Strata, wstyd i triumf prawicy". Jednak postanowili nie ograniczać się do analiz emocji wyłącznie prawicowych wyborców, a większość respondentów stanowili wyborcy miłościwie nam rządzącej koalicji.

Uczeni przeprowadzili wywiady indywidualne i grupowe w mieście z wareckiego Szlaku Jabłkowego, czyli typowej prowincjonalnej Polski B. Jak zaznaczają autorzy, „scenariusz badań zawierał pytania dotyczące biografii i doświadczeń życia lokalnego, wyznawanych wartości oraz sposobów rozumienia wspólnoty i patriotyzmu. Obejmował również pytania o opinie na temat kluczowych kwestii społecznych (takich jak Unia Europejska, migracja, role płciowe czy prawa osób LGBTQ+) oraz o ocenę współczesnej polityki i przywództwa w Polsce, w tym rządów Koalicji Obywatelskiej i prezydentury Karola Nawrockiego".

Sadura na stronie internetowej „Krytyki Politycznej" próbuje otrzeźwić medialnych akolitów obecnej władzy: „Polacy przestali się wstydzić tej swojej niższości, polskości, wiejskości. Nie dadzą się zapędzić do narożnika inteligenckimi ocenami. Nie będą wstydzić się tego, że Karol Nawrocki był kibolem ani że pochodzi z blokowiska. Wręcz przeciwnie – fakt, że człowiek z takim backgroundem został prezydentem, napawa ich dumą". Jak widać zatem wyraźnie,

osiem lat rządów PiS-u, który zapowiedział walkę na śmierć i życie z „pedagogiką wstydu", przyniosło stukrotny plon.

Lokalna duma

Jako iż Polacy, zwłaszcza z tej „gorszej" Polski, są spragnieni uznania, respondenci podkreślali znaczenie sadów. Jak wyraziła to pewna osoba: „nasz region jabłkiem stoi, że tak powiem. Słynie z jabłek, słynie z owoców. Jesteśmy znani, jesteśmy znani w całej Europie, a wręcz i na świecie, tak? I to, i to daleko na świecie. To na pewno możemy się tym, możemy się tym szczycić, chwalić, być z tego dumni. Że tutaj, prawda, umiemy produkować, umiemy produkować takie jabłka jak nigdzie indziej".

Tak się zastanawiam, czy z tego okręgu nie pochodziły soczyste jabłuszka, które – w postaci jabolów – spożywałam pod koniec podstawówki (wstyd się do tego przyznać, ale tak było) i w ogólniaku – jeśli tak, to wdzięczna jestem za wkład w przygotowanie boskich napojów, które przy rzyganiu smakowały tak samo jak przy piciu… Ale dość prywaty: taki Bawarczyk jest dumny z BMW, mieszkaniec Cannes z Riwiery Francuskiej, a na Szlaku Jabłkowym są dumni z tego, co mają. Nie oceniam, jedynie odnotowuję.

Oczywiście respondentom generalnie podobały się unijne kredyty i dotacje do produkcji sadowniczej. Niektórzy z nich jednak woleliby, aby Bruksela dawała forsę i nie wpierdalała się w miejscowe sprawy, co wyrażają choćby następujące opinie: „jak wchodzą jakieś dyrektywy Unii, że jest grypa czy coś i nagle ktoś likwiduje jakieś swoje hodowle, tak? No to wtedy to wiadomo, ten rolnik będzie już na nie"; „no teraz głupią krowę chce się kupić do własnego użytku, zarejestruj, opodatkuj. Co weterynarz musi być przyjechać, co tydzień. I musi być wyszykowane. Mleko, mleko ma być, próbki, coś tam. To ludziom się nie chce".

Na marginesie: że ludziom w Polsce się nie chce, to wiadomo już od dawna i nie jest to szczególnie odkrywcza teza…

Stosunek do ukraińskich imigrantów, zwykle pracowników (w tym zrywających jabłka, których Polakom za tę zapłatę zrywać się nie chce – patrz wyżej) jest wśród zwolenników prawicy prosty. Niech sobie oni wykonują za grosze prace, których „nasi" nie chcą, gdyż najgorzej jest, gdy – broń Boże! – „wycwanią się" i znajdują lepsze stanowiska. Gospodynie wiejskie zarzucają im, że się trzymają razem i nie integrują, choć jako żywo nie pałają przesadną chęcią do poznawania Ukraińców, którym mają za złe, że są jakoby uprzywilejowani w dostępie do usług publicznych.

Prowokatorzy

Respondenci, zarówno konserwatywni, jak i „liberalni", przyjęli do wiadomości istnienie społeczności LGBT, ale wolą nie mieć z nią nic wspólnego. Pewna kobieta ze zgrozą opowiedziała, co widziała w Warszawie: „O i było dwóch takich panów. No po prostu. Jak popatrzyłam… Nawet gdzieś mam jeszcze zdjęcie. Pan z torebeczką różową, okulary różowe, spodenki takie. No już nie będę przytaczać aż tak może. O co mi chodzi? Chodzi mi o to, że niech robią sobie, co chcą, aby się nie afiszowali tak bardzo".

Rozumiem powyższą wypowiedź, tylko prosiłbym o odrobinę konsekwencji. Osobiście nie mam nic do wierzących – czy to w Najświętszą Panienkę, Allaha czy Belzebuba – lecz uprzejmie proszę, aby w sferze publicznej nie obnosili się ze swoimi przekonaniami, nie urządzali żadnych procesji religijnych w miejscach publicznych, nie nosili małych znaczków z jakimś ukrzyżowanym, cierpiącym i wychudzonym mężczyzną.

A dlaczego mają się „oni" nie afiszować? Odpowiedzi udzielają inni respondenci, którzy z życzliwością doradzają gejom i lesbijkom, aby „nie prowokować" negatywnych reakcji. Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że jeśli chcecie poznać ludzi, którzy uważają, że dziewczyna nosząca spódniczkę mini i pijąca alkohol „prowokuje" do gwałtu, to udajcie się na warecki Szlak Jabłkowy…

Niech wstydzą się inni

Co znamienne, sympatyzujący z obecną władzą potępiają podklasę jako „dzicz ze wschodu", pijaną i wszczynającą awantury. Tymczasem oni sami i ich znajomi to ludzie cywilizowani.

Niektórzy wstydzą się natomiast za klechów: „Jestem zawiedziona, bo kiedyś oczywiście byłam fanem, jak jeszcze Jan Paweł był nasz, który, oczywiście, pomógł nam wydobyć się z tego komunizmu, ale też potem, no pedofilia, którą ukrywał, no to smutna strona i czarna strona".

Zastanawiające jest, że generalnie respondenci jednocześnie wstydzą się polaryzacji politycznej i społecznej, jak i mocno się w nią wpisują. Ot, taka ciekawostka przyrodnicza.

Jedna z osób wyznała w wywiadzie z wyraźnym rozżaleniem: „Polaryzacja, powiedzmy… KO–PiS, tak…? Straszne to jest właśnie, jak potrafimy między sobą po prostu się żreć, zamiast działać; no to po prostu wygrywa. Ta niechęć w stosunku do drugiej strony, że potrafimy różne rzeczy robić, kierując się tylko tym, żeby tamtemu było źle albo gorzej".

Kolejna narzekała, że rodzajem naszego narodowego sportu jest zazdrość i zawiść. Następna skarżyła się na awanturnictwo w sejmie. A jednocześnie jedni respondenci warczeli na Kaczyńskiego, drudzy na Tuska, wręcz papugując to, co politycy mówią w mediach. Jak mawiają Rosjanie: *biez wodki nie razbieriosz*…

Nie oznacza to bynajmniej, że badani są ślepi na realne problemy, w tym te najboleśniejsze, bo dotykające dzieci, o czym świadczy poniższa wypowiedź: „[W szkole] dziecko jakiegoś dyrektora i tak dalej, lekarza i tak dalej, ono było inaczej traktowane. A dziecko robotnika, czy tam no jakiejś sprzedawczyni, sprzątaczki i tak dalej, było inaczej traktowane. Bardziej to mam na myśli, że to takie było nawet przez same nauczycielki. Bo to jest takie nic nie umie i nikt nie będzie wiedział, tak? Bo nauczyciel[owi] nie zależy na nauce dzieci".

Gość konkretny

Paradoksalnie nieszczególnie odkrywcze jest podsumowanie autorów raportu mówiące o populizmie twardych zwolenników Koalicji Obywatelskiej i jego lustrzanym bliźniaku – prawicowo-konserwatywnym.

Charakterystyczne dla pierwszego są słowa emerytowanej nauczycielki, dla której Nawrocki „to jest ćpun, cham, suteren, dziwkarz i wszystko, co najgorsze", nie lubi ona poprzedniego i obecnego prezydenta za „prostactwo" oraz Hołowni za „zdradę" (temu ostatniemu przekręcając nazwisko na Szymon Chujownia). Na drugą nóżkę głos odmienny o Nawrockim: „A jeśli umiał się bić, to jest gość konkretny, silny, wie, na czym stoi, i nie da sobie w kaszę dmuchać".

Autorzy raportu słusznie skarżą się na liberalne elity, które próbują – co skądinąd od lat nie działa, ale elitarności nie należy mylić z racjonalnością – zawstydzać i upokarzać warstwy ludowe, stosując wobec nich przemoc symboliczną.

Mam jednak dziwne wrażenie, że gdyby naprawdę Polacy ze sobą normalnie i poważnie rozmawiali, zajęli się problemami, które są kluczowe dla ich życia, to szybko doszliby do wniosku, że polaryzacja służy wyłącznie politykom, odwracając uwagę od tego, co naprawdę istotne…

K.K.

SŁOWO CZERWONE

Koalicja nadziei

Liberalny związek partnerski

Dlaczego wierzę, że istnieje duża szansa na koalicję dwóch najbardziej liberalnych partii w Polsce po najbliższych wyborach? I tu pojawia się pytanie: które to? Nietrudno zauważyć, że libralna jest partia Donalda Tuska. No ale nie mniej liberalna (rynkowa) jest Konfederacja. Obie partie wierzą, że ratunkiem dla gospodarki jest przekazanie jak największej władzy przedsiębiorcom. Tusk namaścił jednego z najbogatszych Polaków na głównego eksperta do spraw dalszej liberalizacji, odpaństwowienia gospodarki. O niczym innym nie mówi Mentzen.

Mentzen pytany, czy zlikwiduje politykę społeczną, odpowiada zwykle, że chętnie by to zrobił, ale że to trudne, a od razu wręcz niemożliwe. Wprawdzie marzy o państwie bez państwa Janusza Korwin-Mikkego, ale w praktyce jest gotów raczej podążać drogą Donalda Tuska.

W dziedzinie opieki zdrowotnej proponuje rozbicie Narodowego Funduszu Zdrowia na dużą liczbę konkurujących ze sobą funduszy. W praktyce to jest bardzo blisko pomysłu Platformy na komercjalizację służby zdrowia. Jest to w obu wydaniach wstęp do prywatyzacji. To, że niektórzy lekarze zarabiają setki tysięcy miesięcznie, nie stanowi dla Mentzena problemu podobnie jak dla pani minister zdrowia, która w dodatku jest gotowa do dalszych oszczędności na opiece zdrowotnej kosztem zdrowia i życia pacjentów.

Leczenie dla Mentzena to usługa jak każda inna i powinna kierować się zasadą popytu i podaży. W tym kontekście likwidacja porodówek to tylko wynik malejącego popytu. W jego horyzoncie umysłowym problem kobiet, które ryzykują długą podróż do szpitala, gdzie mogłyby urodzić, nie istnieje. Potwierdza to premier, który upiera się, że porodówek jest wystarczająca liczba.

Liberalny rząd nie przejmuje się luką w NFZ, bo liberałowie „wiedzą" że jedynym sposobem na poprawę usług służby zdrowia jest jej prywatyzacja. Głodząc publiczną opiekę zdrowotną, rząd pragnie wykazać, że tylko prywatna jest coś warta. Konkluzja jest wspólna: warto leczyć tylko tych, którzy mogą za to zapłacić. Pytany o system opieki zdrowotnej w USA Mentzen twierdzi, że jest za mało wolnorynkowy. I to mimo że ogromnej części Amerykanów nie stać na leczenie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Konfederacja jest przeciwna budowaniu mieszkań komunalnych czy socjalnych. Całość budownictwa powinna być według nich w rękach prywatnych deweloperów, a państwo powinno jedynie nie przeszkadzać regulacjami. Rząd Tuska oficjalnie popiera budownictwo społeczne, ale prawie nic w tym kierunku nie robi. Statystyczna gmina w Polsce buduje jedno mieszkanie społeczne rocznie. Brak budownictwa społecznego wymuszają sponsorzy głównych partii politycznych, czyli deweloperzy. Między niepopieraniem budowania tanich mieszkań pod wynajem a ich nie budowaniem nie ma wielkiej różnicy.

Teraz, kiedy badania pokazują, że ani obecny obóz rządzący ani opozycja nie mają pewności utrzymania lub przejęcia władzy, dogadania się Tuska z Mentzenem nie można wykluczyć. Do niedawna polexit był tylko figurą retoryczną. Tak było do czasu, gdy na scenie pojawił się Grzegorz Braun. Polexit przestał być bezimiennym straszakiem. Ucieleśnił się w partii, która z pewnością pojawi się w przyszłym sejmie. Mentzen – który chętnie zmienia poglądy lub często głosi różne opinie w zależności od czasu i sytuacji, jest jednak pragmatykiem i przyciśnięty nie raz już opowiadał się za utrzymaniem status quo – może ostatecznie wylądować w obozie liberalnym jako jego młodsza, dynamiczniejsza odmiana.

Większość polskiego społeczeństwa chwali sobie bycie w Unii, więc na tej nacjonalistycznej fali daleko się nie popłynie. Im wyraźniej widać, że prawica rysuje scenariusz ostro antyunijny, tym bardziej szale między obozem władzy a opozycją się wyrównują. Nowa Nowa Nadzieja Mentzena jako element pragmatyczny politycznej sceny może przechylić szalę na korzyść obecnej władzy. Oczywiście z PSL-em, który zawsze zdoła wskoczyć na wóz, który ma przeważyć. Ostatnie sondaże pokazują idealny pat.

Ideologicznie rzecz biorąc, ludzie Mentzena pójdą z prawicą narodową. Ale gdyby dokonali wyboru bliższego swym poglądom, przeskoczenie przez płot nie jest wcale wykluczone.

Ludzie pokroju Czarnka skazani są na rozhuśtywanie nastrojów antyunijnych. O ostatecznej decyzji Mentzena i jego frakcji zadecyduje być może dynamika sporu z PiS-em i to, kto komu jakie miejsca w rządzie zaoferuje.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 3035c1864a

ZUS ogrodnika

Wojna z macierzyństwem

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zakład Ubezpieczeń Społecznych jest jak państwo. Nie takie, jakim chcieliby je widzieć jego obywatele – opiekuńczym, solidarnym i odpowiedzialnym. Lecz dokładnie takim, jakim faktycznie jest – nieufnym, skostniałym i brutalnym wobec słabszych. Ale ZUS nie tylko reprezentuje państwo. On je ucieleśnia. Jest jego wykwitem. Jego najczystszym destylatem. I jak to zwykle z destylatem bywa, uderza w głowę i pali od środka.

W teorii ZUS to instytucja podległa Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. W praktyce – bezduszna maszyna administracyjna, której zadaniem jest bronić budżetu przed obywatelami. Nieważne, czy jest to chory, emeryt, wdowa, czy kobieta w ciąży – każdy staje przed ZUS-em jak oskarżony, który musi udowodnić swoją niewinność. I to najlepiej w sądzie. Tak też właśnie kończy się coraz więcej spraw – przed Temidą, z kosztami po stronie obywatela, który z odwagą próbował wyciągnąć rękę po to, co mu się należy.

Niewiedza szkodzi

Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że pieniądze, które przez lata odkładał na subkoncie w ZUS – po śmierci ubezpieczonego – nie są automatycznie wypłacane. Zostają zamrożone. Średnia kwota na takim subkoncie? Według najnowszych danych – ok. 29 tys. zł. Możliwość odzyskania tych pieniędzy istnieje, ale tylko pod warunkiem złożenia wniosku – formalnego, biurokratycznego, wymagającego dokumentów. Jeśli zmarły za życia wskazał beneficjentów, może to być małżonek, przyjaciel, osoba zupełnie spoza rodziny.

Ile osób o tym wie? Niewiele. Jak wiele odzyskuje tę kasę? Jeszcze mniej. Bo często zagubione w pogrzebach, w żalu, w formalnościach nie myślą o subkontach. A państwo – czyli ZUS – milczy, czekając, aż upłynie czas i subkonto umrze w zapomnieniu.

Kolejny jaskrawy przykład tej systemowej bezduszności to los kobiet prowadzących działalność gospodarczą, które przed urodzeniem dziecka podwyższały składki, by zapewnić sobie – po porodzie – odpowiedni zasiłek. Tymczasem kobiety, które w latach 2014–2019 urodziły dzieci, a w tym czasie pobierały wysokie zasiłki macierzyńskie dzięki podwyższonym składkom, dziś otrzymują od ZUS decyzję o wyłączeniu ich z ubezpieczeń społecznych – za okres, kiedy pobierały świadczenia. W efekcie są wezwane do zwrotu nie tylko samych zasiłków, ale i odsetek – często liczących się w setkach tysięcy złotych. Kwoty, o których mowa, sięgają od 315 do 550 tys. zł brutto. Z czego główna kwota to zwykle 200–300 tys. zł, a reszta to odsetki.

Prawo kobiet do zabezpieczenia macierzyństwa w praktyce staje się karą. ZUS zmusza do zwrotu – prześwietla finały urodzenia, motywacje, składki, tworząc system uważający macierzyństwo za nadużycie.

Każdy to oszust

Interwencje rzecznika praw obywatelskich nie pozostawiają złudzeń. Kobieta w ciąży? Potencjalna oszustka. Matka tuż po porodzie? Obiekt podejrzeń. Macierzyństwo? Ryzyko socjalne. W ramach kontroli ZUS potrafi wstrzymać wypłatę świadczeń na miesiące, zostawiając kobietę bez środków do życia.

RPO wprost zarzuca ZUS-owi praktykę, która jest sprzeczna nie tylko z duchem prawa, ale i z literą konstytucji. Podczas spotkania z przedstawicielami ZUS-u urzędnicy Biura Rzecznika Praw Obywatelskich wskazywali na systemowy problem: kobiety w ciąży oraz świeżo upieczone matki są w sposób rażący obciążane ciężarem dowodu, zmuszane do tłumaczenia się z legalnych działań, traktowane z podejrzliwością. Ich sytuacja finansowa, zdrowotna i psychiczna bywa dramatyczna – a mimo to ZUS nie waha się wstrzymywać im wypłat: nie dlatego, że coś im udowodniono, ale dlatego, że trwa kontrola.

Rzecznik przypomina, że istnieje ugruntowane orzecznictwo sądowe, które jasno mówi: zatrudnienie kobiety w ciąży – nawet z myślą o świadczeniach – nie jest obejściem prawa. Nie ma nic nagannego w tym, że ciężarna zawiera umowę o pracę z intencją zabezpieczenia siebie i dziecka. Wręcz przeciwnie – to racjonalne działanie, które ZUS traktuje jak przestępstwo.

Największym zarzutem RPO jest jednak to, że instytucja publiczna – powołana do ochrony interesów społecznych – w sposób systemowy krzywdzi kobiety. ZUS nie uwzględnia ich stanu zdrowia, sytuacji życiowej, emocjonalnego i fizycznego obciążenia; nie bierze pod uwagę, że kobieta tuż przed porodem lub po nim nie jest w stanie prowadzić sporów administracyjnych z urzędnikiem.

Urzędnik wie lepiej

ZUS działa z premedytacją. Wykształcił cały katalog podejrzeń, które automatycznie kwalifikują kobietę do „śledztwa": umowa zawarta krótko przed porodem. Zatrudnienie u członka rodziny. Praca zdalna. Wynagrodzenie nieadekwatne do stanowiska. Brak wcześniejszych składek. Okoliczności zatrudnienia, które „mogą wskazywać" na działanie instrumentalne. ZUS nie potrzebuje dowodów – wystarczy podejrzenie. A potem to kobieta musi dowieść, że nie planowała wyłudzenia.

Zarzuty stawiane przez ZUS są często absurdalne. Umowa z teściową? Fikcja. Praca biurowa w domu? Niemożliwa do zweryfikowania. Szybkie zatrudnienie po rejestracji firmy? Celowe działanie mające na celu uzyskanie świadczeń. A nawet jeśli kobieta przedstawia dokumenty, zeznania, historię przelewów, e-maile i potwierdzenia – ZUS i tak może uznać, że „zebrany materiał dowodowy nie pozwala na stwierdzenie istnienia rzeczywistego stosunku pracy".

Dla ZUS-u kobieta w ciąży jest winna już na wstępie. Jej intencje są podejrzane, jej motywacje egoistyczne, jej działania – oportunistyczne. A że jest w ósmym miesiącu ciąży i nie ma za co zapłacić za gaz?

W ostatnich latach obserwujemy lawinowy wzrost takich działań. W 2023 r. ZUS przeprowadził blisko 5 tys. kontroli kobiet w ciąży i cofnął aż 546 zasiłków. To ponad 11 proc. wszystkich skontrolowanych przypadków. Dla porównania: rok wcześniej było ich trzykrotnie mniej. A mówimy tylko o kobietach, które trafiły pod lupę. Ile zrezygnowało z walki, jeszcze zanim otrzymały decyzję?

Nie brak jednak tych, które się nie poddały i poszły do sądu. A sądy pracy coraz częściej przyznają rację kobietom. Odrzucają decyzje ZUS-u, uznają zatrudnienie za legalne, nakazują wypłaty zasiłków, oddalają żądania zwrotu dziesiątek, a czasem setek tysięcy złotych. Orzecznictwo – nawet Sądu Najwyższego – jest jednoznaczne: ciąża nie wyklucza zatrudnienia, a korzystanie z prawa do świadczeń nie jest wyłudzeniem.

Ale zanim kobieta usłyszy ten wyrok, musi przetrwać miesiące – a czasem lata – walki. Musi odłożyć macierzyństwo na bok i stać się stroną w sporze administracyjnym: zebrać akta, udowodnić swoją niewinność, przejść przez gąszcz procedur. I tylko jedno może jej w tym pomóc: wiara, że to się w ogóle opłaca.

Najbardziej przerażające jest to, że ZUS działa zgodnie z procedurą. To procedura jest zła.

To państwo zdecydowało, że kobieta w ciąży ma być podejrzana, że jej umowa ma być analizowana, jej intencje rozbierane na czynniki pierwsze, jej wybory życiowe podważane. I to wszystko za zgodą Ministerstwa Rodziny,

którego urzędnicy wciąż powtarzają, jak bardzo wspierają kobiety, dzieci i rodziny. W rzeczywistości zostawiają je na pastwę urzędników ZUS-u, którzy tylko czekają, by udowodnić, że nieuczciwa matka próbowała ich oszukać.

Dla przeciętnej kobiety, tuż przed porodem, bez oszczędności, z lękiem o dziecko, państwo jest obce, nieprzychylne, nieprzyjazne – i na pewno nie po jej stronie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie W DOBROBYCIE

● Bezrobocie rośnie kolejny miesiąc z rzędu i wynosi już 6,1 proc., czyli około miliona osób jest bez pracy – ogłosił GUS. I gdyby ktoś zatrzymał się na tej jednej liczbie, mógłby uznać, że gospodarka zaczyna się chwiać, bo jeszcze niedawno było to 5 proc. z hakiem, a każda dziesiąta część punktu procentowego oznacza tysiące ludzi więcej bez roboty. Tylko że w tym samym czasie przedsiębiorstwa raportują, że ich przychody liczone są w setkach miliardów złotych, a zysk sięga dziesiątek miliardów. Ba, dynamika wzrostu potrafi wynosić kilkanaście procent rok do roku. W samym przemyśle, handlu i usługach mówimy o przychodach przekraczających 2 bln zł rocznie, z czego zysk netto liczony jest w dziesiątkach miliardów, a w niektórych kwartałach przekracza 50–60 mld zł, co oznacza, że firmy są w stanie generować ogromne nadwyżki finansowe. Najbardziej spektakularne jest to, że poprawa wyników objęła także branże, które jeszcze niedawno uchodziły za problematyczne, bo w górnictwie, gdzie straty liczono wcześniej w miliardach złotych, pojawiły się dodatnie wyniki finansowe. Jednocześnie koszty pracy rosną, bo wynagrodzenia wraz ze składkami stanowią już 20,2 proc. wszystkich kosztów przedsiębiorstw, podczas gdy rok wcześniej było to 18,2 proc., co oznacza wzrost o dwa punkty procentowe w ciągu zaledwie 12 miesięcy, czyli wzrost o ponad 10 proc. udziału kosztów pracy w strukturze kosztów, co dla firm jest sygnałem, żeby nie zwiększać zatrudnienia. I dlatego właśnie pojawiają się zwolnienia. Tylko w pierwszych dwóch miesiącach roku zgłoszono redukcje obejmujące prawie 15 tys. pracowników, czyli blisko trzykrotnie więcej niż rok wcześniej. Jeśli to tempo się utrzyma, to w tym roku dziesiątki tysięcy ludzi stracą pracę mimo poprawy wyników przedsiębiorstw. W ostatnich latach wzrost produktywności liczony był w okolicach 9–10 proc., podczas gdy wzrost zatrudnienia był znacznie niższy, co oznacza, że mniej ludzi wytwarza tyle samo, ile wcześniej wytwarzało więcej, co jest marzeniem każdego przedsiębiorcy. Strach się zatem bać momentu, w którym przedsiębiorstwa będą osiągały kolejne rekordowe wyniki finansowe, bo to wbrew zdrowemu ekonomicznemu rozsądkowi może oznaczać jeszcze większy skok bezrobocia.

● Do wzrostu bezrobocia przyczyniło się i to, że ze stanowiska prezesa Poczty Polskiej poleciał nagle Sebastian Mikosz. Wywalenie go wywołało jednak coś więcej niż standardowe wzruszenie ramion, bo oto okazało się, że człowiek, który ilekroć w fotelu premiera zasiada Donald Tusk, tylekroć pojawia się na czele jakiejś państwowej spółki, jest jednak zatapialny. Kariera Mikosza jest podręcznikowym przykładem tego, jak w Polsce zarządzanie dużymi podmiotami publicznymi polega nie tyle na budowaniu stabilności, ile na zarządzaniu permanentnym konfliktem, bo tam, gdzie pojawia się Mikosz, dochodzi do sporu i napięć, które kończyły się zwykle redukcjami zatrudnienia – albo jak w PLL LOT – zarobków pracowników. Poczta Polska od lat dołuje, zmagając się z malejącą liczbą przesyłek, rosnącą konkurencją firm kurierskich i kosztami, które rosną szybciej niż przychody. W takim momencie na stołek prezesa wszedł Mikosz, który – jak powszechnie wiadomo – specjalizuje się w komunikowaniu pracownikom, że muszą zrozumieć trudną sytuację rynkową. Minister Balczun, który zwolnił Mikosza, mówił o potrzebie nowego otwarcia i świeżego spojrzenia, co w praktyce oznacza tyle, że ktoś inny będzie podejmował podobne decyzje, a jedyną realną zmianą jest nazwisko na drzwiach gabinetu. Poczta Polska jest bowiem skazana na plajtę. Ale Mikosz – jak to ma w zwyczaju – wróci, by znów tłumaczyć pracownikom i związkom zawodowym, dlaczego tym razem musi być gorzej, zanim będzie lepiej, choć to „lepiej" zwykle nie nadchodzi. Stąd odpowiedź na pytanie, gdzie Mikosz pojawi się następnym razem, jest dziś ważniejsza niż sama jego dymisja.

● „Polska gospodarka ma się świetnie" – słyszymy w rządowych komunikatach, wystąpieniach i mediach społecznościowych. Gdy jednak spojrzeć na liczby, a nie na konferencje prasowe, widać obraz mniej radosny. Bo – jak pokazuje GUS – liczba osób pracujących na umowach-zleceniach rośnie szybciej niż liczba etatów. Umowa-zlecenie daje wszak pracodawcy to, że człowieka można zatrudnić, można zwolnić, można zmniejszyć liczbę godzin. W świecie, w którym produkcja przemysłowa spadła o 2 proc., a ceny produkcji lecą w dół o 1,3 proc., taka elastyczność staje się walutą cenniejszą niż złoto z rezerw banku centralnego. Firmy będą jeszcze chętniej uciekać w rozwiązania, które pozwalają im reagować na zmiany szybciej niż urzędnik zdąży przeczytać wniosek. Nie bez znaczenia jest też to, że przedsiębiorstwa działają dziś na zaledwie 77 proc. swoich możliwości produkcyjnych, podczas gdy przed pandemią było to 81 proc. Skoro więc część mocy stoi niewykorzystana, to po co zatrudniać nowych ludzi na stałe? Lepiej mieć ich pod ręką, ale bez zobowiązań. Lepiej zapłacić za wykonaną pracę, niż za gotowość do jej wykonania. Na tym tle rosnąca liczba umów-zlecenia przestaje być statystyczną ciekawostką, a zaczyna być sygnałem ostrzegawczym. To nie jest jeszcze katastrofa, ale wyraźny sygnał, że coś w mechanizmie zaczyna się zacinać. Bo zdrowa gospodarka to taka, w której firmy chcą inwestować i zatrudniać, a pracownicy mają poczucie stabilności. Jeśli zamiast tego mamy rosnącą niepewność, spadające inwestycje i ucieczkę w umowy śmieciowe, to znaczy, że między oficjalnym obrazem a rzeczywistością zaczyna się robić coraz większa szczelina. I rosnąca liczba konferencji prasowych jej nie zasypie.

● Spółka PKP Cargo jeszcze niedawno była absolutnym królem torów w Polsce. W 2012 r. państwowy przewoźnik kontrolował ponad 60 proc. rynku przewozów towarowych. W liczbach bezwzględnych oznaczało to ponad 120 mln ton przewożonych ładunków rocznie. Konkurencja była wtedy raczej symboliczna, a prywatne firmy dopiero zaczynały swoją przygodę z polską koleją. Dziś udział PKP Cargo w rynku spadł do około 30 proc., czyli w ciągu dekady zmniejszył się o ponad połowę. Spadły też przewozy – do około 80 mln ton. W tym samym czasie konkurencja rosła. DB Cargo Polska, czyli polska spółka należąca do niemieckiego koncernu Deutsche Bahn, zatrudnia w Polsce około 2 tys. pracowników, dysponuje ponad 400 lokomotywami oraz kilkunastoma tysiącami wagonów. Jej udział w rynku przekroczył 20 proc., co oznacza, że niemiecki przewoźnik depcze po piętach narodowemu czempionowi. Nie dlatego jednak, że Niemcy wymyślili jakiś szczególny sposób na zdobywanie naszych szyn. Po prostu PKP Cargo od lat nie ma szczęścia do zarządzania. W ciągu kilkunastu lat firma miała ponad 10 prezesów, a każdy z nich przychodził z nową strategią. Kilka lat temu PKP Cargo osiągało kilkaset milionów złotych zysku rocznie. Ale w 2023 r. miało ponad 100 mln zł straty. Bo polska kolej przez

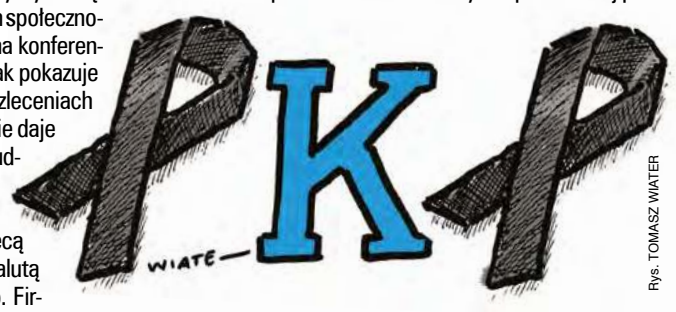

Rys. TOMASZ WIATER

dekady żyła z transportu węgla. Jeszcze niedawno surowce energetyczne stanowiły ponad 40 proc. wszystkich przewozów kolejowych w Polsce. Tyle że węgla elektrownie spalają coraz mniej, a produkcja coraz częściej opiera się na gazie, odnawialnych źródłach energii oraz imporcie prądu. W efekcie przewozy węgla spadają. PKP Cargo przespało też tzw. rewolucję intermodalną. Jeszcze 10 lat temu po polskich szynach przewożono około 1 mln kontenerów rocznie. Dziś jest to już ponad 3 mln. I gdy PKP Cargo woziło węgiel, Niemcy postawili w Polsce na kontenery. Bo pociąg towarowy może zastąpić 40–50 ciężarówek na drodze. Jednocześnie emituje nawet cztery razy mniej CO_2. Jeśli więc niemiecki przewoźnik potrafi wozić towary szybciej, taniej i sprawniej niż polska spółka państwowa, to dla polskich firm może to oznaczać po prostu niższe koszty transportu. A w gospodarce liczy się nie to, czy wagon jest biało-czerwony czy biało-czerwono-czarny, tylko czy jedzie tanio, szybko i na czas.

TTJ

eprasa.pl 3035c1864a

GADMAN

Skurcz mocarstwa

Zamiast myszy złapał się kot

Uchodził za jednego z najzdolniejszych dowódców. „Chłodny w obejściu, ma naturę kota pokazującego czasami pazury” – tak określano nowego szefa sztabu francuskiej armii w Indochinach gen. Henriego Navarre.

Do Wietnamu przybył wiosną 1953 r. Zastąpił utalentowanego i ukochanego przez francuskie media gen. Jeana de Lattre’a. Ten zmusił partyzantów Viêt Minhu do opuszczenia terenów zurbanizowanych. Stworzył system fortyfikacji, zwany linią de Lattre’a, chroniący francuską administrację i wojsko. Przywrócił w Wietnamie „normalność”. Nie oszczędzał siebie i bliskich. W podległym mu wojsku służył też jego jedyny syn.

Kiedy syn poległ, cała Francja oglądała filmową relację z pogrzebu. Idących za trumną, bolejących rodziców. Po pogrzebie generał wrócił dalej walczyć o francuskie Indochiny. Rok potem, w styczniu 1952 r., zabiła go choroba. Wtedy cała Francja znów oglądała uroczysty pogrzeb. Ale tym razem widziała tylko idącą za trumną samotną wdowę.

Francuska pułapka

Wiosną 1953 r. francuscy wojskowi wiedzieli, że wielce kosztowne fortyfikacje linii de Lattre’a okazały się równie skuteczne jak linia Maginota. Wojska Viêt Minhu omijały duże forty, a mniejsze paliły. Wiosną 1953 r. opanowały sąsiedni Laos. W Wietnamie atakowali małe posterunki, unikali starć z przeważającymi siłami. Walczyli nocami, w dzień byli niewidzialni.

Wówczas nawet prawicowe francuskie gazety postulowały wznowienie negocjacji z polityczną reprezentacją Viêt Minhu, zawarcia jakiegoś pokoju na honorowych warunkach. Ale upragniony pokój był daleki, bo walczące strony inaczej jego honorowe warunki postrzegały. Mocarstwowa Francja proponowała Unię Indochińską. Wspólnotę państw Wietnamu, Kambodży i Laosu. Związanych politycznie z Francją. Formalnie niepodległych, ale z ograniczonymi sferami suwerenności, przede wszystkim w polityce międzynarodowej. Wietnamscy patrioci kierowani przez Hô Chí Minha chcieli uznania proklamowanej przez nich 2 września 1945 r. niepodległej Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Aby zmusić Viêt Minh do pokoju na swych warunkach, francuscy politycy zaakceptowali plan gen. Navarre’a. Wciągnięcia wietnamskich wojsk w wielką bitwę i wykrwawienia ich zasobów. W listopadzie 1953 r. pierwszy kontyngent francuskich spadochroniarzy wylądował w leżącej na pograniczu Laosu wiosce Điên Biên Phû. Tak rozpoczęła się operacja „Castor”. W nieskażonej ludzką cywilizacją dżungli Francuzi rozpoczęli budowę silnie ufortyfikowanej bazy. Z lotniskiem polowym, szpitalem, magazynami. Nie zapomniano o kantynach dla oficerów i żołnierzy, polach do gry bule. Ofertę kulturalno-oświatową dopełniał burdel z panienkami jedynie francuskiego pochodzenia, aby wykluczyć ich szpiegowanie.

„Przygotowałem sobie teren, teraz zamierzam zabić kilku Wietnamczyków” – napisał bojowo dowódca francuskiego kontyngentu gen. de Casties do swego ministra obrony Rene Plevena.

Do marca zgromadzono tam 16 tys. żołnierzy wyposażonych jedynie w 28 dział ciężkich i 10 czołgów. Ale dowodzący artylerią płk Charles Piroth przekonywał, że Żółci są za głupi, by konkurować z jego artylerzystami. Francuzi uznali też, że otaczające ich fortalicje i porośnięte dżunglą góry skutecznie ochronią ich przed ciężką bronią partyzantów. Dodatkowo wizytująca Điên Biên Phû misja amerykańskich ekspertów wykluczyła możliwość transportu na okalające wzgórza jakiejkolwiek ciężkiej artylerii. Finał tak zaplanowanej „krótkiej, zwycięskiej wojenki” jest dziś znany.

Ocalić honor Francji

Choć dowodzący wojskami wietnamskimi Võ Nguyên Giáp akademii wojskowych nie ukończył, to lepiej rozumiał współczesną wojnę niż dyplomowani wojskowi. Wietnamczycy stworzyli *xe thô*, czyli rowery towarowe, którymi przewieźli rozebraną na części artylerię. Kiedy pękały ich opony, to kulisi darli swe portki na paski i okręcali nimi koła. Bitwę wygrał Peugeot, żartowali, bo używane przez nich rowery były tej marki. W marcu 1954 r. zmasowany artyleryjski ogień zaskoczył francuskich żołnierzy. Wielu z nich zrozumiało, że sami zastawili na siebie pułapkę.

Także w marcu zdezerterował batalion sojuszniczych Tajów. Pułkownik Piroth, ten od „głupich Żółtków”, popełnił „honorowe” samobójstwo. Podobnie uczynił gen. de Castres, ale dopiero przed kapitulacją.

Oblężone wojska stawiały silny opór. Zrzucono im na pomoc dwa bataliony ochotników. Świadomych, że lecą tam na śmierć. W szeregach Legii Cudzoziemskiej pod Điên Biên Phû walczyli też byli żołnierze Waffen-SS – tak twierdzi wielu historyków wojskowości. Ponieważ w niektórych batalionach spadochroniarzy ponad połowę składu stanowili Niemcy, to niektórzy uważają, że była to ostatnia wielka bitwa tej formacji. Uważanej przez wojskowych za znakomicie wyszkolone, skuteczne wojsko. W czasie walk Francuzi użyli bomb napalmowych, które wcześniej Amerykanie testowali na Marianach i podczas wojny w Korei.

Straty atakujących tyralierami Wietnamczyków były bardzo wysokie. Dlatego generał Giáp zmienił taktykę: atakowano nocą małymi oddziałami mozolnie ryjącymi podkopy pod kolejne zdobywane tak reduty. Wolę walki i kondycję obrońców dobiła wietnamska przyroda. Rozkładające się w upale i wilgoci ciała poległych przyciągnęły do doliny roje insektów. Ciała rannych gniły, bo obrońcom brakło medykamentów. Na posterunkach pozostały burdelowe panienki do końca pielęgnujące rannych. To one ocaliły honor Francji w czasie, kiedy oficerowie wybierali „honorowe” samobójstwa, a politycy handlowali życiem żołnierzy.

Jak wygrać pokój

Francuską operację „Castor” sfinansowały USA, bo w 1953 r. Francji nie stać było na prowadzenie kolonialnej wojny.

Już w 1950 r. francuskie elity polityczne były świadome, że Wietnamu nie da się utrzymać. Ale nawet tak światli politycy jak generał de Gaulle przekonani byli, że bez terytoriów zamorskich Francja przestanie być mocarstwem.

Poza tym każda parlamentarna formacja polityczna była świadoma, że kiedy pozwoli na niepodległość Wietnamu, to niechybnie polegnie w najbliższych wyborach parlamentarnych.

W 1954 r. w ZSRR rządy zaczynał pierwszy sekretarz Nikita Chruszczow, a prezydentem USA był generał Dwight Eisenhower. Obaj chcieli stworzyć nowy ład międzynarodowy, lecz z zachowaniem koncertu dwóch mocarstw. Wojnę w Wietnamie uważali za szansę zwiększenia swych wpływów w Azji Południowo-Wschodniej. Kolejną po koreańskiej wojnę zastępczą toczoną jedynie przez swych „podwykonawców”, bez oficjalnego udziału własnych wojsk. Oczywiście USA wspierały Francję finansowo, a francuskie wojsko doradcami. Tych francuscy oficerowie honorowo olewali. Dopiero kiedy zaczęli przegrywać pod Điên Biên Phû, to poprosili Amerykanów o użycie ich taktycznych bomb atomowych. Ci odmówili. W ówczesnym gronie przeciwników amerykańskiej interwencji w Wietnamie byli senatorowie, przyszli prezydenci USA Lindon B. Johnson i John F. Kennedy. Pewnie dlatego, że wtedy zasiadali w ławach opozycji.

Wietnam miał wsparcie Chin i ZSRR. Silne propagandowo, materialnie o wiele słabsze niż amerykańskie dotacje dla Francji. Obu mocarstwom, USA i ZSRR, pasowała sytuacja, że gdzieś tam ich sojusznicy toczą wojnę za nich. Rujnującą pozycję Francji i zasoby ludzkie Wietnamu.

W maju 1954 r. podczas międzynarodowej konferencji w Genewie zaczęto rozmawiać o przyszłości Indochin. Stronami byli: Wielka Brytania i ZSRR jako patroni konferencji, Francja, Chiny, delegacja Viêt Minhu, delegaci Indochin z Kambodży, Laosu i profrancuskiego Wietnamu oraz USA jako strona zainteresowana.

17. równoleżnik

Klęska pod Điên Biên Phû wywołała we Francji szok, obaliła francuski rząd. Premierem został deputowany z drugiego rzędu Pierre Mendès France. Radykalny socjalista, który był znany z tego, że od lat postulował dogadanie się z Demokratyczną Republiką Wietnamu. Choć rządził siedem miesięcy, to zdążył zakończyć wojnę w Indochinach, uznać Demokratyczną Republikę Wietnamu i rozpocząć dekolonizację Tunezji. Za pokojową działalność wypadł z francuskiej polityki. Nie pasował do mocarstwowości.

W czasie genewskiej konferencji koncertujące mocarstwa zgodziły się na niepodległość Wietnamu, ale tylko w połowie. Podzielono Wietnam wzdłuż 17. równoleżnika. Czemu 17., skoro były też propozycje 13. i 14. równoleżnika? Tak bywa podczas koncertu mocarstw. Półwysep Koreański wcześniej też podzielono arbitralnie, zgodnie z propozycją amerykańskiego sierżanta sztabowego. W obu przypadkach nie pytano o opinie Koreańczyków ani Wietnamczyków.

Podział Wietnamu zaakceptowała Francja, bo to nie był już jej Wietnam. Zgodziły się USA, bo to miał być ich Wietnam. Nie oponowała Wielka Brytania, bo była w sojuszu z USA. Nie sprzeciwiły się ZSRR i Chiny, bo słaby sojuszniczy Wietnam jest bardziej pokorny. Opinie Kambodży, Laosu i francuskiego Wietnamu pokojowo debatujące mocarstwa miały głęboko gdzieś.

Pokój genewski przyniósł chwilowy rozejm, a potem kolejną wojnę zastępczą. Już z udziałem USA. Aprobowaną przez jej prezydentów, wcześniejszych przeciwników. Zwycięstwo „żółtych głupków” nad liderem demokratycznej cywilizacji białego człowieka zainspirowało pochodzącego z Martyniki intelektualistę Frantza Fanona do napisania manifestu „Wyklęty lud ziemi”. Biblii antykolonialistów.

Czas pokazał, że de Gaulle miał rację: wraz z Wietnamem Francja straciła status światowego mocarstwa.

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Trumpolandia

W miesięcznicę napaści USA i Izraela na Iran (wiedzieliśmy, że ulubione słowo prezesa jeszcze kiedyś się przyda) prezydent Trump odwiedził przedział prasowy Air Force One, żeby odpowiedzieć na kilka pytań na temat przebiegu wojny, która miała trwać parę dni. Niestety, nie udało się, albowiem jego uwagę pochłaniał temat znacznie większej doniosłości. „Zmiana reżimu jest konieczna, ale myślę, że to jest automatyczne” – powiedział prezydent niepewnie i zmienił temat: „Zrobiłem dziś coś, właśnie dostaliśmy to od architektów, wiele ludzi o tym mówi”… Tu Przywódca Wolnego Świata wyciągnął pięć olbrzymich plansz z wizualizacją sali balowej, którą buduje przy Białym Domu. Rzeczywiście, jest ona przedmiotem rozmów wielu osób – zwłaszcza odkąd „New York Times” zapytał o opinię paru architektów, którzy starannie opisali absurdy projektu: monstrualny portyk z 24 kolumnami, do którego prowadzą gigantyczne schody, zupełnie nie wiadomo po co, albowiem od strony portyku nie ma żadnych drzwi, tylko wielkie okno, przez które nic nie będzie widać, bo dokładnie zasłonią je wspomniane 24 kolumny. Ale za to – żeby zacytować Trumpa – „korynckie, czyli najlepsze, jakie są”. Komisja ds. Sztuk Pięknych (mianowana przez prezydenta, a jakże) obradowała nad projektem przez 12 minut, po czym jednogłośnie go zatwierdziła. Podczas poprzedniej kadencji Trumpa dyskusja nad nowym płotem wokół Białego Domu trwała dziewięć miesięcy.

Ta sama komisja zleciła departamentowi skarbu wybicie monety z Trumpem. Moneta upamiętniająca 250-lecie USA ma być z 24-karatowego złota. Na rewersie będzie orzeł zrywający się do lotu, zaś na awersie – Donald Trump zrywający się z krzesła, z groźną miną wsparty pięściami o biurko. Wiceprzewodniczący komisji James McCrery II, skądinąd głównym architekt sali balowej, zalecił, aby „moneta miała jak największy rozmiar, do trzech cali średnicy” (7,62 cm). „Jeśli chodzi o średnicę, to myślę, że prezydent lubi duże rzeczy” – wyjaśnił. I dodał: „Ja, ogólnie rzecz biorąc, też”. Ale to nie koniec. Oblicze Trumpa znajdzie się też na nowych jednodolarowych monetach, a jego autograf – jako pierwszego w historii urzędującego prezydenta – na jubileuszowej serii banknotów. „Nie ma potężniejszego sposobu na uczczenie historycznych osiągnięć naszego wielkiego kraju i Prezydenta Donalda J. Trumpa niż banknoty dolarowe z jego imieniem i nazwiskiem, a wydanie tej historycznej waluty w roku 250-lecia jest jak najbardziej właściwe” – ogłosił sekretarz skarbu Scott Bessent, którego podpis też ma być na banknotach.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wojna z Iranie nie pochłania także w całości uwagi „sekretarza wojny” Pete’a Hegsetha. Znalazł czas, żeby zająć się czymś znacznie ważniejszym: odznakami harcerskimi. Organizacja „Scouting America” jest, zdaniem Hegsetha, wątpliwa moralnie, odkąd zmieniła nazwę z „Boy Scouts of America”, żeby uwzględnić 200 tys. dziewczynek, które ma w swoich szeregach. „Po 2012 roku skauci zgubili drogę. Ta niegdyś wspaniała organizacja została głęboko zraniona. Zmieniono nazwę, przyjęto dziewczęta, a nacisk na Boga jako władcę wszechświata został osłabiony przez otwarcie się na humanizm i pogańskie religie skupione na Ziemi” – lamentował Hegseth w filmiku, opublikowanym w przeddzień napaści na Iran. Organizacja podwinęła ogon pod siebie i zapowiedziała, że – zgodnie z dekretem prezydenta Trumpa nr 14173 – wyeliminuje ze swojego działania wszystkie zasady dotyczące różnorodności, inkluzywności i wyrównywania szans, znane jako DEI (diversity, equity, inclusion). W zamian Hegseth obiecał póki co nie odbierać skautom wsparcia swego departamentu. Jedną z pierwszych zmian, których Pete zażądał, była likwidacja odznaki „Obywatelstwo w społeczeństwie”, która wiązała się z poznaniem zasad sprawiedliwości i etycznego przywództwa. Czemuż, ach czemuż?

AWŁ

eprasa.pl 3035c1864a

Codzienność na Zachodnim Brzegu

Brunatne twarze Izraela

W Izraelu rozszerzono, a w praktyce wprowadzono karę śmierci dla terrorystów palestyńskich. Od zasądzonej kary nie będzie przysługiwało ułaskawienie, a egzekucja przez powieszenie będzie wykonywana w ciągu 90 dni. Od 1962 r. nie wykonano ani jednej egzekucji, mimo że prawo formalnie ją przewiduje w wyjątkowych przypadkach jak np. ludobójstwo czy zdrada stanu. Według nowego prawa kara za popełnienie tych samych przestępstw co Palestyńczycy nie grozi Żydom. Obywatele Izraela generalnie bywają bezkarni.

Podczas gdy oczy całego świata skupiają się na wywołanej przez amerykańsko-izraelski duet wojnie w Iranie, żydowscy osadnicy zaostrzają ataki wobec ludności palestyńskiej na Zachodnim Brzegu Jordanu. Zgodnie z prawem międzynarodowym izraelskie osiedla na Zachodnim Brzegu uważane są za nielegalne (pisaliśmy o tym w „NIE", nr 8/2026). Mimo to wedle szacunków ok. 700 tys. obywateli Izraela mieszka obecnie na tym obszarze obok 3 mln Palestyńczyków. Co więcej, nabywanie gruntów dla osadników stało się znacznie łatwiejsze pod rządami obecnej administracji. Radykalni osadnicy nagminnie napadają na palestyńskie wsie, raniąc mieszkańców, gwałcąc i niszcząc ich majątek. Kradną zwierzęta, zbiory (zwłaszcza oliwki), ale potrafią też wynieść meble i inne sprzęty. Podpalają domostwa, meczety, wypychają palestyńskich rolników z ich ziem. W 2025 r. udokumentowano ponad 1800 takich ataków na całym Zachodnim Brzegu.

Kampania systemowej przemocy trwa od lat i jest elementem pełzającej aneksji palestyńskich ziem. Izraelscy politycy oczywiście odrzucają te oskarżenia. Nie wszyscy. Minister finansów Becalel Smotricz, który nadzoruje politykę osadniczą, rozgłasza teorie, że władze zezwalają na budowę osiedli, „aby zablokować utworzenie palestyńskiego państwa terroru". Jak stwierdził w sierpniu 2025 r., „państwo palestyńskie jest wymazywane, nie za pomocą sloganów, ale czynów. Każde osiedle, każda dzielnica, każda jednostka mieszkaniowa jest kolejnym gwoździem do trumny tego niebezpiecznego tworu". Partia Smotricza jest koalicjantem premiera Binjamina Netanjahu w obecnym rządzie...

Od momentu rozpoczęcia wojny w Iranie przemoc eskalowała. Według raportu ONZ od początku marca na Zachodnim Brzegu z rąk osadników zginęło co najmniej sześciu Palestyńczyków. 15 marca 2026 r. na północnym terytorium Zachodniego Brzegu w miejscowości Tammun izraelscy żołnierze z jednostki specjalnej Mista'avrim (agenci działający pod przykryciem, wyglądający jak palestyńscy cywile) otworzyli ogień do samochodu, którym podróżowała czteroosobowa rodzina Bani Odeh. Rodzice wraz z dwoma synami, w tym jednym niewidomym, wracali ze świątecznych zakupów na koniec ramadanu. Małżeństwo poniosło śmierć, a chłopcy zostali ciężko ranni. Według izraelskiej wersji samochód rodziny „gwałtownie przyspieszył w kierunku sił", co zostało odebrane jako zagrożenie. Żołnierze działali w ramach operacji aresztowania podejrzanych w okolicy, a że poczuli niebezpieczeństwo, zapobiegawczo

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

podziurawili auto z ludzkim wsadem. Według świadków zdarzenia, w tym ocalałych dzieci, nie było żadnego ostrzeżenia ani wezwania do zatrzymania się pojazdu.

22 marca w okolicach nielegalnego posterunku osadniczego Shuva Yisrael Farms w rejonie Homesh dwaj izraelscy osadnicy patrolowali teren na quadzie. W ich pojazd uderzyła palestyńska ciężarówka. W wyniku kolizji zginął 18-letni Izraelczyk Jehuda Szmuel Sherman. Brat ofiary zeznał, że palestyński kierowca czekał, przyśpieszył i celowo zepchnął quad z drogi. Świadkowie zdarzenia zaprzeczyli tej wersji, na potwierdzenie pokazując nagrania, z których wynikało, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Wielu osadników i prawicowi politycy Izraela, w tym Smotricz, natychmiast nazwali zdarzenie zamierzonym atakiem terrorystycznym. Izraelska policja i Szin Bet (Służba Bezpieczeństwa Ogólnego) początkowo zakwalifikowały zdarzenie jako wypadek, ale szybko zaczęły zmieniać narrację w oparciu o rosnące podejrzenie motywu nacjonalistycznego, czyli terroryzm.

Po pogrzebie Shermana z udziałem setek osób i prawicowej śmietanki politycznej grupy osadników wezwały przez media społecznościowe do zemsty. Doszło do brutalnych ataków na kilkanaście palestyńskich wsi. Osadnicy podpalali domy, pola i samochody. Bili mieszkańców i obrzucali ich kamieniami. Obrażenia odniosło kilkanaście osób.

Przeciwko przemocy osadników zaprotestowało 100 byłych ambasadorów i wysokich rangą izraelskich dyplomatów. W apelu skierowanym do ministra spraw zagranicznych Gideona Saara wskazali: „niedopuszczalna przemoc, która nasiliła się pod przykrywką obecnej wojny, jest diametralnie sprzeczna z zasadami dobrego rządzenia i moralności oraz stanowi całkowite naruszenie prawa międzynarodowego i izraelskiego". Przestrzegli też przed niebezpieczeństwem odejścia od zasad i ryzykiem rosnącego izolacjonizmu. Były premier Ehud Olmert publicznie oskarżył izraelskie władze o bezczynność i wezwał Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, by interweniował w sprawie ataków. W oświadczeniu przekazanym „Guardianowi" zaznaczył, że obecne ataki na Palestyńczyków „przypominają te kiedyś wymierzone w Żydów w Europie". Szef Sztabu Generalnego IDF oraz inni dowódcy wojskowi publicznie potępili ataki. Brzmi paradnie, zważywszy na to, że część napadów odbywa się przy cichej akceptacji armii. Opozycja (m.in. lewicowa Yair Golan) mówiła wprost o polityce terroru i czystek etnicznych. Cóż z tego?

Od 2020 r. z rąk osadników i żołnierzy IDF na Zachodnim Brzegu zginęło ponad 1,1 tys. Palestyńczyków. Nikogo nie oskarżono o zabójstwo, a ponad 95 proc. policyjnych śledztw w sprawie przemocy z rąk osadników zostało umorzonych bez postawienia zarzutów. Wojna i ekstremizm dobrze się sprzedają w Izraelu. Według świeżego sondażu dla dziennika „Maariv"

Netanjahu z palcem w dupie utrzyma się na czele prawicowo-religijnej koalicji, zdobywając 63 mandaty w 120-osobowym Knesecie. Sam jego Likud uzyskałby 28 mandatów.

Płynie z tego wniosek, że zdecydowana większość Izraelczyków ma w pompie prawa człowieka i zasady demokracji. Zarzuty o korupcję wobec Netanjahu chyba też straciły na znaczeniu. Izraelczycy, którzy co do zasady są bezkarni zarówno na poziomie krajowym, jak i międzynarodowym, mogą działać z wszelką dowolnością. Nic nie wskazuje na to, żeby gesty potępienia czy symboliczne sankcje miały to zmienić. Po przegłosowaniu kary śmierci dla Palestyńczyków Ben-Gvir, główny orędownik ustawy, przyniósł do parlamentu flaszkę szampana, żeby świętować zwycięstwo. Po głosowaniu powiedział: „Stworzyliśmy historię. Obiecaliśmy. Dostarczyliśmy".

IDALIA DUBICKA

Spójność pod ostrzałem

Zauważyliście, że irańscy dyplomaci nie przechodzą na stronę USA?

Mimo intensywności bombardowań i ogromu zniszczeń, mimo wszelkich form zastraszania i pokus, które zwykle towarzyszą takim przełomowym momentom, świat nie odnotował dotychczas ani jednego przypadku, by irański ambasador lub wysoki urzędnik państwowy ogłosił dezercję z rządu w Teheranie. To nie jest drobny szczegół; to głęboki wskaźnik natury trwającego konfliktu oraz struktury państwa irańskiego, które wydaje się – nawet w najtrudniejszych warunkach – wewnętrznie spójne.

W wielkich wojnach siły państw nie mierzy się wyłącznie liczbą rakiet i samolotów, lecz zdolnością do utrzymania jedności wewnętrznej. Ileż to systemów upadło nie pod wpływem bomb, lecz wskutek rozkładu od środka – gdy elity polityczne i dyplomatyczne zaczynały uciekać lub przechodzić na stronę wroga. Obraz Iranu jest dziś zupełnie inny: brak uciekających dyplomatów, brak publicznych zerwań, jest natomiast wyraźna konsolidacja i ciężkie milczenie, które w rzeczywistości oznacza decyzję o trwaniu i oporze.

Ta spójność nabiera jeszcze większego znaczenia, jeśli uwzględnić skalę uderzeń, jakim Iran został poddany – uderzeń nie zwyczajnych, lecz wymierzonych bezpośrednio w strukturę przywódczą państwa. Mowa o utracie kluczowych postaci, w tym najwyższego przywódcy, a także grupy czołowych dowódców wojskowych. W wielu krajach taki cios wywołałby polityczne trzęsienie ziemi i głębokie podziały, a być może nawet szybki rozpad. Tymczasem stało się coś przeciwnego: zamiast publicznego chaosu czy pęknięć na szczytach władzy w Iranie widzimy jednolity przekaz i wyraźną determinację.

Gdy Iran doświadcza ciężkich strat i traci kluczowych przywódców, prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump wygłasza wypowiedzi nacechowane skrajną arogancją polityczną, mówiąc o „zmazaniu Iranu z mapy" i przejęciu jego zasobów – jakby chodziło o zwykłą transakcję, pokaz siły bez konsekwencji. Tego rodzaju retoryka nie tylko lekceważy prawo międzynarodowe, ale również ujawnia mentalność opartą na dominacji i ignorowaniu realiów historii oraz geografii.

Iran jako państwo cywilizacji liczącej tysiące lat nie jest bytem przypadkowym, który można wymazać decyzją polityczną czy groźbą militarną. Być może właśnie dlatego uderzenia, które go dotknęły, nie przyniosły oczekiwanych przez niektórych rezultatów. Zamiast załamania odpowiedź Iranu – jak się wydaje – była silna i odstraszająca, niosąc jasny sygnał, że uderzenie w przywództwo nie sparaliżuje państwa, lecz może przynieść efekt odwrotny.

Odstraszanie nie polega wyłącznie na działaniu militarnym, lecz także na zdolności do przyjęcia ciosu i szybkiego odzyskania równowagi. To sygnał, że istnieje struktura instytucjonalna zdolna do funkcjonowania nawet przy braku kluczowych postaci.

Jest to złożona równowaga: poważne straty na poziomie przywództwa, lecz bez załamania procesu decyzyjnego.

Jednocześnie brak publicznych rozłamów nie oznacza braku napięć wewnętrznych. Naturalne jest, że w takich warunkach dochodzi do sporów i ostrych dyskusji, jednak różnica polega na tym, że nie przeradzają się one w jawne kryzysy polityczne. To również forma zarządzania kryzysem – utrzymywanie różnic wewnątrz struktur zamiast ich eskalacji na oczach świata.

To, co obserwujemy dziś, ujawnia jedną fundamentalną prawdę: presja zewnętrzna, nawet bardzo silna, nie musi prowadzić do rozpadu państw od środka. Czasami działa odwrotnie – wzmacnia spójność, choćby tymczasowo, wobec postrzeganego zagrożenia egzystencjalnego.

Ostatecznie obecna sytuacja pokazuje, że konflikt wykracza poza wymiar militarny i staje się testem zdolności państw do przetrwania od wewnątrz. Między językiem gróźb i arogancji a odpowiedzią określaną jako silna i odstraszająca kształtuje się nowa rzeczywistość, w której wojny nie rozstrzygają się wyłącznie siłą, lecz także wolą i spójnością.

OMAR FARIS

Muzyk zaorał Trumpa

Bruce Springsteen na wojnie z reżimem

Przed laty narodowym hitem w Polsce była piosenka Jacka Kaczmarskiego „Mury" zaczynająca się od pamiętnych słów:

„On natchniony i młody był.
Ich nie policzyłby nikt.
On im pieśnią dodawał sił.
Śpiewał, że blisko już świt.
Świec tysiące palili mu,
Znad głów podnosił się dym.
Śpiewał, że czas, by runął mur,
Oni śpiewali wraz z nim".

Co prawda Bruce Springsteen jest młody tylko – a może aż! – duchem, ale stanął na czele protestów przeciwko murom między ludźmi (że o bombach zrzucanych na innych ludzi nie wspomnę), jakie wznosił prezydent Donald Trump. Wyśpiewał swój protest przeciwko niemu w Minnesocie, gdzie biło serce niedawnych demonstracji przeciwko „królowi" z Białego Domu, określonych mianem „No Kings".

Muzyk wykonał utwór „Streets of Minneapolis", napisany po zamordowaniu przez federalnych agentów Renee Good i Alexa Prettiego. Starał się podnieść protestujących na duchu, zagrzewając ich do boju: „Wasza siła i zaangażowanie pokazują, że to wciąż jest Ameryka. Ten reakcyjny koszmar i najazdy na amerykańskie miasta nie będą trwały wiecznie".

Okazało się, że muzyka nie łagodzi obyczajów, a przynajmniej nie złagodziła ich u Trumpa. Określił on artystę, legendę amerykańskiej kultury, mianem „totalnego przegrywa", nie zapomniał też – w całkowitej zgodzie ze swym wyrafinowanym poczuciem humoru – nazwać go „wyschniętą śliwką", której wizerunek „ucierpiał z powodu pracy naprawdę złego chirurga plastycznego". Z wrodzoną sobie skromnością podkreślił, iż za demokratów „nasz kraj był martwy, a teraz mamy »niesamowity« kraj, zdecydowanie najlepszy na świecie. MAGA powinna bojkotować jego przereklamowane koncerty, które są okropne. Oszczędzajcie swoje ciężko zarobione pieniądze".

Jak wiadomo, Springsteen to wrażliwy gość, którego teksty są zwykle pełne metafor, wręcz poetyckie. Ale to człowiek o otwartym umyśle. Kiedy więc lider słynnego w latach 90. lewackiego zespołu Rage Against The Machine powiedział mu, że czas, aby Bruce – niczym, nie przymierzając, Mariusz Max Kolonko nadający ze swojego schowka na miotły w Waszyngtonie – zaczął mówić, jak jest.

Przypomnijmy, że Springsteen miał już na pieńku z wcześniejszymi prezydentami republikańskimi. Przed laty George W. Bush użył w reklamie – bez zgody artysty – jego kultowej piosenki „Born in the U.S.A.", nie zwróciwszy uwagi, że nie jest to hurrapatriotyczny hymn amerykański, lecz gorzka opowieść o oszukanym przez władzę kraju chłopaku, weteranie wojny wietnamskiej, którego brat (rodzony lub metaforyczny) zginął w walce, a on sam od dekady jest bez roboty…

Koncert w Minnesocie był inauguracyjnym w wielkiej trasie znacząco zatytułowanej „Land of Hope and Dreams Tour 2026" (Kraina Nadziei i Marzeń). 76-letni Springsteen nie obawia się bynajmniej negatywnej reakcji fanów bliskich Trumpowi i bojkotu swej twórczości. W jednym z wywiadów powiedział wprost:

„Moja rola jest bardzo prosta: robię to, co chcę robić, mówię to, co chcę powiedzieć, a potem ludzie mogą mówić o tym, co chcą. Takie są zasady mojej gry".

To ciekawe, że są to słowa żywcem wyjęte z Marksa, który w „Kapitale" twierdził, że podąża za Dantem namawiającym, by iść swoją drogą, a ludzie niech mówią, co chcą!

No cóż, to jedna z nader nielicznych chwil, gdy żałuję, że nie mieszkam w Stanach Zjednoczonych…

Z.J.

eprasa.pl 3035c1864a

Stany Zjednoczone na wojnie religijnej

Rakiety Pana Boga

Wyobraź sobie scenę jak z polskiej prowincji: salkę przy parafii, wykład o końcu świata, proboszcza, który z miną księgowego zbawienia tłumaczy, że wszystko jest po coś, nawet twoje cierpienie, cudza bieda i cudza śmierć. Tylko że w wersji amerykańskiej ta salka nazywa się Pentagon, proboszcz ma dostęp do największej armii świata, a wierni siedzą nie na składanych krzesłach, lecz przy pulpitach dowodzenia.

Sekta z logistyką

W marcu Fundacja Wolności Religii w Wojsku (Military Religious Freedom Foundation) poinformowała, że dostała ponad 200 skarg od żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych USA. Słyszeli od dowódców, że wojna z Iranem jest „częścią bożego planu", że prowadzi do Armagedonu i „przygotowuje powrót Jezusa". Jednemu z wojskowych nawet tłumaczono, że Donald Trump został do tej misji „namaszczony przez Jezusa". To już nie jest armia republiki. To jest sekta z wojenną logistyką.

I tu właśnie zaczyna się trumpizm w swojej najuczciwszej, bo najczystszej postaci: jako system, który przestał nawet udawać, że wojna ma cokolwiek wspólnego z prawem, bezpieczeństwem czy dyplomacją.

Dawniej imperialną przemoc sprzedawano w USA pod marką demokracji. Dziś sprzedaje się ją jak pakiet pielgrzymkowy de luxe: nalot, modlitwa, proroctwo, ofiara cywilna w cenie.

Iran nie ma być przeciwnikiem politycznym. Ma być rekwizytem w teleewangelicznej inscenizacji końca świata. A kiedy władza opowiada żołnierzowi, że rozkaz płynie od Boga, nie musi już odpowiadać na pytanie, kto na tej wojnie zarobi: koncerny zbrojeniowe, nafciarscy spekulanci, polityczni hochsztaplerzy i cały ten pasożytniczy dwór, który zawsze tuczy się najlepiej wtedy, gdy biedni giną za „święte" interesy bogatych.

Pastor przy atomowym guziku

Na czele tego religijno-militarnego jarmarku stoi Pete Hegseth, sekretarz obrony, który najwyraźniej pomylił urząd z objazdową amboną. Associated Press i „Washington Post" pisały, że Hegseth organizuje w Pentagonie comiesięczne chrześcijańskie nabożeństwa transmitowane publicznie, a Amerykańskie Stowarzyszenie na rzecz Rozdziału Kościoła od Państwa, czyli AU, złożyło w tej sprawie pozew, argumentując, że tworzy to klimat religijnej presji i narusza konstytucyjny rozdział państwa od Kościoła. Podczas jednego z marcowych nabożeństw organizowanych przez Hegsetha w 2025 r. modlono się o *overwhelming violence of action against those who deserve no mercy* (o przygniatającą bezlitosną przemoc wobec tych, którzy nie zasługują na miłosierdzie). To przecież Pentagon, a nie grill u survivalowców, nie rekolekcje dla fanów krucjat, tylko centralny urząd od zarządzania wojną. Pastor od geopolityki nie jest przejawem lokalnego folkloru. To lobbysta metafizyki przy atomowym guziku.

W tle kręci się jeszcze Ralph Drollinger, duchowy guru Hegsetha, i jego „Capitol Ministries", czyli biblijny coaching dla ludzi, którzy decydują o sankcjach, cłach, rakietach i trupach. Freedom From Religion Foundation pisała w 2025 r., że organizacja wznowiła cotygodniowe studia biblijne dla członków Kongresu, senatorów i wysoko postawionych urzędników administracji Trumpa. Sama chwali się, że „czyni uczniami Jezusa Chrystusa na arenie politycznej". Jak to pięknie brzmi: uczniowie Jezusa od budżetu wojskowego i nalotów. Jakby Ewangelia zaczynała się od słów: „Błogosławieni, którzy mają dostęp do briefingu CIA".

Zbawienie z terminalem płatniczym

Wyobraź sobie, że 7 lutego 2025 r. Biały Dom oficjalnie powołał Biuro do spraw Wiary – White House Faith Office, a jego twarzą została Paula White-Cain, teleewangelistka, wieloletnia przewodniczka duchowa Trumpa i kapłanka teologii sukcesu, tej najuczciwszej religii kapitalizmu, w której Bóg kocha bogatych, bo biedni najwyraźniej za słabo się modlili albo za mało wpłacili. Internet twierdzi, że ta pani oferuje ludziom religijne namaszczenie. Podobno nie namaści nikogo, kto nie okaże posłuszeństwa. A dowodem posłuszeństwa ma być zapłata odpowiedniej stawki, zależnej od rodzaju namaszczenia. Nie wiadomo tylko, czy do tego sakramentu używa łoju, czy zwykłego cennika. Oficjalny komunikat Białego Domu przedstawił ją jako starszą doradczynię nowego biura. To nie mem. To dokument państwowy.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Paula White-Cain ma dorobek godny epoki, w której krzyż robi za terminal płatniczy. „Guardian" przypominał, że obiecywała wiernym „siedem nadprzyrodzonych błogosławieństw" za 1000 dol. i sprzedawała *resurrection seeds* po 1144 dol. „Christian Post" opisywał kampanię, w której za 125 dol. oferowano zestaw komunijny z Ziemi Świętej, a przy darowiźnie 1000 dol. – kryształowy krzyż Waterford, czyli zbawienie z gratisowym kryształem, luksusowy pakiet łaski dla klasy średniej aspirującej do nieba z salonu premium. Wikipedia, podsumowując wcześniejsze ustalenia senackiej komisji finansów, przypomina też, że Kościół współprowadzony przez White był badany pod kątem wykorzystywania środków zwolnionych z podatku, w tym opłacania luksusowej nieruchomości i prywatnego odrzutowca. Chrystus, jak widać, zmartwychwstał i od razu poleciał business class.

Krzyżowcy w drodze po łupy

Spójrzmy więc na całość bez amerykańskiego marzenia. Pentagon, w którym sekretarz obrony urządza nabożeństwa i modli się o „bezlitosną przemoc". Ralph Drollinger kierujący swoim „Capitol Ministries", które prowadzi biblijną tresurę elit. Biały Dom z Biurem do spraw Wiary pod kierownictwem telekaznodziejki od cudów za przelew. Żołnierze słyszący, że Iran to nie geopolityka, tylko rozkład jazdy do Armagedonu. My w Polsce znamy ten mechanizm aż za dobrze: najpierw proboszcz mówi, że kobieta ma cierpieć godnie, potem polityk mówi, że to tradycja, a na końcu zawsze ktoś liczy pieniądze. Tyle że nasz klerykalizm dławi szkołę, szpital i kobiece życie. Ich klerykalizm ma jeszcze lotniskowce, Wall Street i arsenał jądrowy.

Sam oceń, czy trumpowska Ameryka jest śmieszna, czy straszna. Ja myślę, że kiedy państwo z atomem zaczyna mówić językiem sekty, przestaje być tylko groteskowe. Staje się niebezpieczne jak teleewangelista z kodami startowymi. I wtedy zostaje już tylko naga prawda: nie religia, nie patriotyzm, nie obrona wartości, lecz polityczny gang, który święci rakiety, sprzedaje wojnę jako objawienie i każe ludowi finansować własne ogłupienie. Ołtarz świeci obok monitorów w Situation Roomie, tron i jego dwór zbierają datki, a rachunek – jak zawsze – płacą ci, którzy nie mają ani samolotu, ani akcji Lockheeda, ani numeru do Pana Boga. I może to jest najuczciwsza definicja trumpizmu: religia dla tłumu, zysk dla elit, rakiety dla reszty świata.

ANNA GRODZKA

Łomatko! Federacja!

Każdy suweren u siebie, razem w panice

We współczesnym świecie Europa przypomina statek. Luksusowy liniowiec, ale po przejściach, z załogą kłócącą się na mostku. Dryfujemy między dwoma olbrzymami: Stanami Zjednoczonymi z ich zachodnim blokiem i Chinami z azjatyckim Wschodem. Nikt już nie jest hegemonem. To świat po hegemonii, świat bez centrum, za to z nadmiarem ambicji.

W 2026 r., z Trumpem znów w Białym Domu i Pekinem dominującym technologicznie, Unia Europejska nie może dłużej udawać, że wystarczy handlować i gadać. Handel już nie wystarcza. Gadanie też nie. Potrzebujemy suwerenności i nowej energii – nie tylko w obronie, ale również w gospodarce i technologiach – jeśli chcemy chronić własne wartości, a nie tylko je wspominać przy okazji szczytów.

Czy to możliwe? Można wątpić. W Europie zawsze można. Można też mieć nadzieję, choć ta bywa tu towarem reglamentowanym. Najważniejsze jednak, że trzeba działać, bo brak działania też jest decyzją. Tylko że cudzą.

Sama do siebie kwaśno się uśmiecham, gdy to piszę, bo widzę europejskie realia aż nazbyt wyraźnie – Europę, która stała się wasalem właśnie upadającego hegemona, naiwnie wierząc w jego ojcowską opiekę i jeszcze bardziej naiwnie w jego dobroć. Dziś ta postawa domaga się rewizji, bo nie była ani mądra, ani dobra, ani nawet szczególnie wygodna. Złudzeniem okazała się wiara w niezawodność militarnego sojuszu NATO z amerykańską dominacją i agresywną polityką międzynarodową.

Teraz widać to jak na dłoni: w świecie, który tylko udaje unipolarny, by stanąć na własnych nogach, nie wystarczy otwarcie rynków i liberalizacja przepływów kapitałów, produktów i usług. Do tego potrzeba spójności. Solidarności. Sterowności. A z tym mamy problem.

Jak bowiem budować wspólną sprawczość, skoro nad rozumnym dostrzeganiem interesu wspólnego wciąż górują narodowe egoizmy i stare, poczciwe nacjonalizmy? Rządy państw, wyposażone w traktatowe prawo weta, używają go chętnie i często w złej wierze.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Słowo „wspólnota", tak często przypisywane Unii Europejskiej, zaczyna brzmieć jak dowcip opowiadany bez przekonania. Bo jak nazwać wspólnotą organizację, w której Rada Europejska jest areną niekończących się paraliżujących sporów, Komisja Europejska – ten quasirząd – nie ma ani wspólnego systemu podatkowego, ani armii, a nawet nie potrafi zapewnić, by obywatel UE mógł przejechać koleją z Warszawy do Paryża, Rzymu czy Lizbony bez rytualnego biegania z walizką po peronach?

Z tego wszystkiego wynika jeden wniosek: potrzebna jest głębsza integracja. I tu pojawia się słowo, które dla polskiej nacjonalistycznej prawicy jest jak czerwona płachta dla byka: „federacja". Przerażające, bo polscy nacjonaliści boją się niemieckich i francuskich nacjonalistów. Starcie egoizmów z lękami, lęków z fantazmatami, a wszystkiego z rzeczywistością. Trudno uwierzyć, że zdołamy się tego balastu pozbyć, by Europa mogła stać się realnym podmiotem gospodarczym w podzielonym świecie, nie porzucając przy tym deklarowanych wartości: solidarności społecznej i sprawiedliwości.

A jednak istnieją inicjatywy, które próbują ten impas rozbroić. W Polsce mówi się o nich niewiele – zapewne z obawy przed opozycyjnym wrzaskiem. Tym bardziej warto się im przyjrzeć i wpuścić je do obiegu publicznej debaty. Nawet jeśli mają drażnić. Zwłaszcza jeśli mają drażnić.

Od 2017 r. Emmanuel Macron mówi o „Europie suwerennej" – ze wspólną armią i decyzjami podejmowanymi większością, zamiast jednomyślności wszystkich 27 państw. W 2025 r. Robert Habeck z Zielonych powiedział wprost, że Unia powinna zmierzać ku federalnej republice. To zresztą echo znacznie starszych pomysłów, jak ten Wolfganga Schäublera z lat 90., gdy proponował „rdzeń Europy" – federalną eurozonę z własnym rządem i budżetem.

Co więcej, niektóre elementy tej wizji już istnieją. NextGenerationEU, fundusz 750 mld euro na odbudowę po pandemii, pokazał, że wspólne obligacje mogą finansować realne inwestycje. Europejska Agencja Obrony koordynuje zakupy broni, a „strategiczna autonomia" zadomowiła się w unijnym słowniku jako hasło oznaczające niezależność energetyczną i surowcową. W 2024 r. młodzi federaliści z JEF Europe mówili o „Europie wielu prędkości", w której chętni idą szybciej, zamiast czekać na najbardziej opornych.

Federacjonaliści idą dalej i wskazują konkretne rozwiązania. Postulują federalizację rdzenia eurozony – 20 państw, z możliwością dołączenia kolejnych, w tym Polski. Mówią o wspólnym rządzie i parlamencie wybieranym demokratycznie, zdolnym podejmować decyzje większością. O budżecie na poziomie 2 proc. PKB, liczonym w setkach miliardów euro, przeznaczonym na obronność, technologie, sztuczną inteligencję i energetykę. O nowej polityce gospodarczej nazwanej bez wstydu europejskim interwencjonizmem – z cłami ochronnymi, recyklingiem surowców, cyfrowym euro i podatkiem od gigantów technologicznych.

W tej wizji Polska ze swoim przemysłem i pozycją na wschodniej flance bywa wskazywana jako potencjalny współlider obok Francji i Niemiec. Rząd Tuska mówi już o integracji. Pada data traktatowej konwencji – 2027 r. Daty, jak wiadomo, w Europie bywają ruchome, ale sam fakt rozmowy jest nie bez znaczenia.

Europa zjednoczona to nie biurokratyczny potwór, lecz szansa na sprawczość. Bez niej będziemy dalej kupować smartfony z Chin, substancje czynne do leków z Indii i Chin oraz broń z USA, tracąc miejsca pracy, wpływy i głos. I będziemy się przy tym pocieszać, że przynajmniej zachowaliśmy suwerenność. Na papierze.

Nie mam zaufania ani do Macrona, ani do Tuska, ani do polityków, których tu cytuję. Uważam jednak, że takie inicjatywy mogą okazać się krokiem w dobrą stronę, choć wszystko – jak zwykle – zależy od szczegółów. Jedno jest pewne i nie podlega negocjacjom: albo Europa stanie się wspólnym projektem politycznym, albo pozostanie wspólnym złudzeniem. A na złudzenia, jak wiemy, historia nie daje kredytu.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 3035c1864a

Poczucie honoru

Ten film warto zobaczyć. Choćby tylko dla postaci majora Zarubina.

Do tej pory w filmie historycznym kręconym w czasach III RP obowiązywał schematyczny dogmat. Jeśli polskiego patriotę przesłuchiwała radziecka bezpieka, to główny przesłuchujący musiał mieć zapitą, karykaturalnie azjatycką mordę. Zapitą, bo cały czas walił spirytus. Azjatycką, aby nawet nietrzeźwy widz dostrzegł, że ten funkcjonariusz jest zaprzeczeniem człowieka kultury, cywilizacji europejskiej. Jedynie brutalnym chamem jak całe Sowiety.

Oczywiście przesłuchiwany Polak miał fizjonomię speszonego intelektualisty i nienaganne maniery. Nawet kiedy był zawodowym żołnierzem lub policjantem.

Teraz „Pojedynek", nowy film Łukasza Palkowskiego, łamie ten schemat. Częściowo, ale i tak jest to akt wielkiej odwagi polskiego reżysera.

„Pojedynek" ma liczne zalety: scenariusz, scenografię, zdjęcia, obsadę aktorską. Zwłaszcza dwójki, wciągniętych w pojedynek, głównych bohaterów. Polaka, zmobilizowanego w 1939 r. do wojska, artystę pianistę gra Jakub Gierszał. Kuszącego go demonicznego enkawudzistę – importowany, znany z „Walki o tron", irlandzki gwiazdor Aidan Gillen.

Scenariusz „Pojedynku" to modna ostatnio w polskim kinie historia oparta na faktach. Czyli prawdziwe wydarzenia, ale nie wszystkie. Pomieszane z fikcją. Ale kino nigdzie i nigdy nie pokazywało w pełni historycznej prawdy. Warto o tym pamiętać w czasie tej projekcji, i po niej też.

Pianista kontra enkawudzista

Akcja „Pojedynku" dzieje się w zamienionym na obóz jeniecki klasztorze. Przypominającym historyczny obóz w Kozielsku. Więzieni tam oficerowie też przypominają prawdziwych uwięzionych w Kozielsku polskich oficerów. Jeden z głównych bohaterów, major Wasyl Zrubin, to postać naprawdę prawdziwa. Rzeczywiście przesłuchiwał on w Kozielsku polskich jeńców.

Jak wspominał prof. Stanisław Swianiewicz, na uwięzionych Zarubin wywarł tak korzystne wrażenie, że z polecenia najstarszego stopniem generała Henryka Minkiewicza polscy jeńcy mu salutowali. Jako jedynemu z obozowych enkawudzistów. Uznali go za człowieka honoru, bo Zarubin wyróżniał się wysokim wykształceniem, władał kilkoma językami, prezentował maniery człowieka światowego. Do obozu przywiózł podręczną bibliotekę złożoną z około 500 tomów w języku rosyjskim, angielskim, francuskim i niemieckim, po czym udostępnił te książki jeńcom. Niektórzy nawet je czytali.

Drugi z pojedynkujących się, Karol Grabowski, to fikcja filmowa. Choć inspirowana prawdziwą postacią Zbigniewa Sylwiana Grzybowskiego. Ale filmowy Karol Grabowski to także stereotyp elity II Rzeczpospolitej. Inteligent, wybitnie uzdolniony pianista. Trochę birbant, niepokorny. Taki zdolny, ale i leniwy, jak to swojak Polak. Do tego nabuzowany postszlacheckim honorem.

W filmie inteligentny radziecki Zarubin wciąga polskiego inteligenta Grabowskiego w wyrafinowaną grę. Kusi go. Proponuje kolaborację. Najpierw niewinną. Aby uczył syna majora gry na fortepianie. Sprowadza do obozu profesjonalny fortepian. Owoc pożądania każdego stereotypowego przedwojennego polskiego inteligenta. Rzecz cenną tam bardziej niż butelka dla alkoholika.

Potem Zarubin podbija stawkę. Jeśli Grabowski zagra koncert w Moskwie, to zamieni mu obozowe szambo na złotą klatkę. Odmieni życie jego i jego rodziny też. Ale obaj pojedynkowicze inaczej grę postrzegają. Funkcjonariusz imperialnego ZSRR gra „o tron". Idol elity upadłej II Rzeczypospolitej gra „o honor". Porozumienia między nimi być nie może, bo wymagałoby to także zawarcia pokoju. Chwilowego przynajmniej.

Ale jak zadeklarował w maju 1939 r. inny sztandarowy polski inteligent, ówczesny minister spraw zagranicznych Józef Beck: „pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną. Tą rzeczą jest honor".

Nietrudno się domyślić, co w finale wybierze filmowy Karol.

Elity drugiej jakości

„Pojedynek" świadomie, lub przy okazji, inspiruje dyskusję o jakości elit II Rzeczypospolitej. Uwięzione, skoncentrowane w Kozielsku elity polskiego państwa starają się zachować przyzwoicie. Wedle swych norm. Choć czasem bywa groteskowo, bo

Ilustr. PAWEŁ FERENC

wielce nerwowo reagują na każdy uszczerbek swego „honoru". Żyją też w bezrefleksyjnej bańce, choć właśnie stracili nie tylko trony, ale i swoje państwo. Jednak nie analizują głęboko przyczyn jego upadku.

Radzieckimi okupantami gardzą. Traktują ich jak podludzi, bandytów. Jednocześnie oczekują od nich „honorowych" zachowań. Przestrzegania międzynarodowych konwencji. Szanowania ich jako jeńców i ludzi honoru. Czekają na to bezczynnie. Wierzą, że w końcu i im zaświeci słoneczko, że jakoś to będzie. Bo przecież to im się zwyczajnie należy. Zachowują się, jakby klęska wrześniowa, totalny bałagan polskiego wojska, jaki widzieli, niczego ich nadal nie nauczyły.

Czy posiadając takie elity, II Rzeczpospolita musiała upaść?

Prawda, ale...

„Pojedynek" świadomie, lub przy okazji, kreuje politykę historyczną jego twórców. Już w napisach początkowych pojawia się informacja, że w 1939 r. Niemcy i Rosja napadły na Polskę. To istotne zakłamanie. Rosji wtedy nie było, był ZSRR. W napadającej Armii Czerwonej służyli też Gruzini, Ormianie, Kazachowie, Ukraińcy, Łotysze, Tatarzy. Nie była to armia rosyjskiej narodowości, jaka jawi się w filmie. Podobnie było w radzieckiej bezpiece. Stworzyli ją przecież Polacy, Żydzi, Łotysze, Ormianie, Litwini. Rosjanie byli tam przez lata mniejszością narodową.

Jedyny filmowy zdeklarowany narodowo Ukrainiec też jest na więziennym statusie zeka. Opróżnia obozowe szamba. Skuszony przez Karola Grabowskiego pomaga mu w próbie ucieczki z obozu. Dostaje za to wyrok śmierci zgodnie z obowiązującym, znanym mu prawem. Oficer Grabowski dostaje jedynie wycisk i potem wraca do gry. Morał tego epizodu nie jest zachęcający do kooperacji ukraińsko-polskiej. Zwłaszcza dla Ukraińców mających inne poczucie „honoru".

Depozytariuszy polskich tradycji wojskowych rażą filmowe obrazy salutowania przez polskich wojskowych do ich pustych głów. W Polsce jeśli żołnierz lub funkcjonariusz mundurowy nie ma na głowie czapki lub hełmu, to nie przykłada ręki do skroni. Zamiast tego staje na baczność i skłania głowę. A na filmie polskie elity salutują sobie, jakby służyły w armii USA.

Inspirujący filmowców prawdziwy Zbigniew Sylwian Grzybowski obóz w Kozielsku przeżył. Trafił potem do armii gen. Andersa. Dożył osiemdziesiątki w Wielkiej Brytanii.

Na śmierć do lasów katyńskich nie trafił też uwięziony w Kozielsku Jerzy Rusiło-Wołkowicki. On też naprawdę rozmawiał z majorem Zarubinem. Ocalał, choć nie prosił o to majora. Ale wcześniej, w roku 1905 służył w rosyjskiej marynarce. Wsławił się bohaterstwem w walce z Japończykami, ratując honor rosyjskiej floty. Okazuje się, że takie poczucie honoru cenią we wszystkich armiach.

PIOTR GADZINOWSKI

„Pojedynek", reż. Łukasz Palkowski, prod. Polska, Irlandia, Ukraina.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Podczas czwartej edycji Ogólnopolskiego Dnia Inżynierii Materiałowej przyszli inżynierowie dowodzili, że polska nauka stoi papierem. Studenci w kilkunastu ośrodkach, z Politechniką Warszawską na czele, przez cztery godziny składali rakiety origami. Tak, dobrze czytacie: elita techniczna narodu bawiła się w wycinanki. Podobno ustanowili rekord Polski. Podobno, bo organizatorzy do tej pory nie potrafią podać oficjalnej liczby złożonych modeli. Ale skoro w akcji brały udział „tysiące uczestników", to przynajmniej wiemy jedno: polski inżynier potrafi odróżnić tysiąc od miliona, co w dobie inflacji i tak należy uznać za sukces dydaktyczny. Jeśli tak ma wyglądać nasz podbój kosmosu, to radzę zainwestować w klej i dobre nożyczki.

▮ Instytut Transportu Samochodowego wypluł raport, że polski kierowca to niemal abstynent. 99,8 proc. z nas jeździ na trzeźwo. Wyprzedzamy pod tym względem nawet Niemców, u których wskaźnik wynosi „zaledwie" 99,5 proc. Brzmi dumnie, prawda? Ale statystyka zawsze kłamie na korzyść tego, kto ją akurat trzyma za gardło. Diabeł tkwi w promilach. Konkretnie w tym, co państwo uznaje za stan wskazujący. W Polsce limit to 0,2. Powyżej jesteś już przestępcą i wrogiem publicznym numer jeden. W Niemczech można legalnie wydmuchać 0,5 i nikt ci złego słowa nie powie. To oznacza, że polski pijak, któremu zabierają prawko za 0,4 promila, za Odrą uchodziłby za wzór cnoty i trzeźwości. Wniosek jest oczywisty: po tych słynnych niemieckich autobahnach pędzą zwyczajne zapijaczone moczymordy, które u nas gniłyby w aresztach.

▮ W Toruniu 89-letnia Janina Rosińska przebiegła 200 m w minutę. Była jedyną zawodniczką w swojej kategorii podczas Halowych Mistrzostw Europy Masters. Więc złoto dostała za sam fakt, że jej tętno wciąż wykazuje oznaki życia. Ale to właśnie obnaża istotę każdego sportu. Biegacz zawsze poci się wyłącznie sam ze sobą, walcząc z własnym rozkładem, grawitacją i uciekającym czasem. Inni na torach obok to tylko dekoracja. Rosińska, biegnąc solo, po prostu przestała udawać. Pokazała nagą prawdę: na końcu dla każdego i tak jedynym przeciwnikiem jest on sam.

▮ Policja z Ostródy odzyskała płaskorzeźbę „Głowa ogrodnika", skradzioną w 2001 r. z parku w Dylewie. Dzieło włoskiego rzeźbiarza Adolfo Wildt'a waży ok. 1,5 tony. Wildt to taki „Mitoraj sprzed Mitoraja" – tyle że zmarł w 1931 r., zanim Igor Mitoraj zdążył się urodzić. Rzeźbę odnaleziono na prywatnej posesji na Mazowszu. Obecny właściciel kupił teren ponad 20 lat temu wraz z rzeźbą. Policja ustala, jak zabytek tam trafił. Obiekt został przewieziony do Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Czyli półtorej tony granitu najpierw zniknęło, a po ćwierćwieczu równie tajemniczo się znalazło. Jak dokładnie – nadal nie wiadomo.

▮ W Braniewie 34-latek ganiał po ulicy z siekierą, grożąc komu popadnie. Napatoczyły się funkcjonariuszki Straży Ochrony Kolei wracające z akcji o kryptonimie „Pociąg". SOK wypuścił w świat komunikat, od którego mdli: „profesjonalizm", „opanowanie", „zdecydowana postawa" i „zastosowanie środków przymusu bezpośredniego". Zawsze mnie mierzi, gdy żywe wydarzenia pakuje się w urzędnicze pustosłowie. Czytając te bzdury, mamy przed oczami posągowe damy w mundurach, które z uśmiechem Mony Lisy i tętnem 60 uderzeń na minutę, patrzą w oczy szaleńcowi z toporem, po czym ruchem baletnicy go obezwładniają. Ja, gdybym zobaczył faceta z siekierą szarżującego w moją stronę, nie myślałbym o „środkach przymusu", tylko zwyczajnie bym się zesrał.

▮ Policja z Suwałk zatrzymała 25-letniego cudzoziemca, który swoim Lamborghini Ursus gnał po S-61 z prędkością 213 km/h. Nazwa modelu brzmi jak nasz poczciwy traktor, ale ten egzemplarz kosztuje 1,5 mln zł – kwotę, którą młodzieniec zapewne uciułał z kieszonkowego w swojej ogarniętej wojną ojczyźnie. Kara? Mandat 2500 zł. Dla właściciela takiej bryki to nie grzywna. Skromny napiwek dla funkcjonariuszy za fatygę i możliwość przetestowania silnika na publicznej drodze.

▮ Janusz Kiszka, komendant miejski policji z Przemyśla, pędził 113 km/h w mieście. Własne podwładne kundle, zamiast zasalutować, udupiły go mandatem i zabrały prawo jazdy. To szczyt nielojalności. Kiedyś za taki numer czyściłyby kible do emerytury. Kiszka podobno i tak jeździ dalej. I słusznie. Władza, która przejmuje się własnym mandatem, to żadna władza.

▮ Główny Inspektorat Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (IJHARS) wstrzymał 300 tys. jaj z Ukrainy. Oficjalnie: błędy w papierach. Brak informacji, czy kura była szczęśliwa i czy siedziała w klatce. Nieoficjalnie: kolejna odsłona wojny handlowej, w której polski rząd pręży muskuły, żeby przypodobać się własnym producentom drobiu. Sytuacja jest schizofreniczna i arcypolska. Młode Ukrainki chętnie przyjmujemy pod nasze dachy, ale ich jajek nie wpuszczamy. Gościnność kończy się zatem tam, gdzie zaczyna się interes kurnika. Nasza miłość do sąsiada ma wyraźne granice: zaczyna się na progu sypialni, a kończy gwałtownie przy kasie w markecie.

▮ Jeronimo Martins, portugalscy właściciele Biedronki, wypowiedzieli wojnę firmie Wawel. Ta polska marka, działająca od 1898 r., to dziś w rzeczywistości szwajcarska Hosta International AG. Mamy klasyczny obrazek:

eprasa.pl 3035c1864a

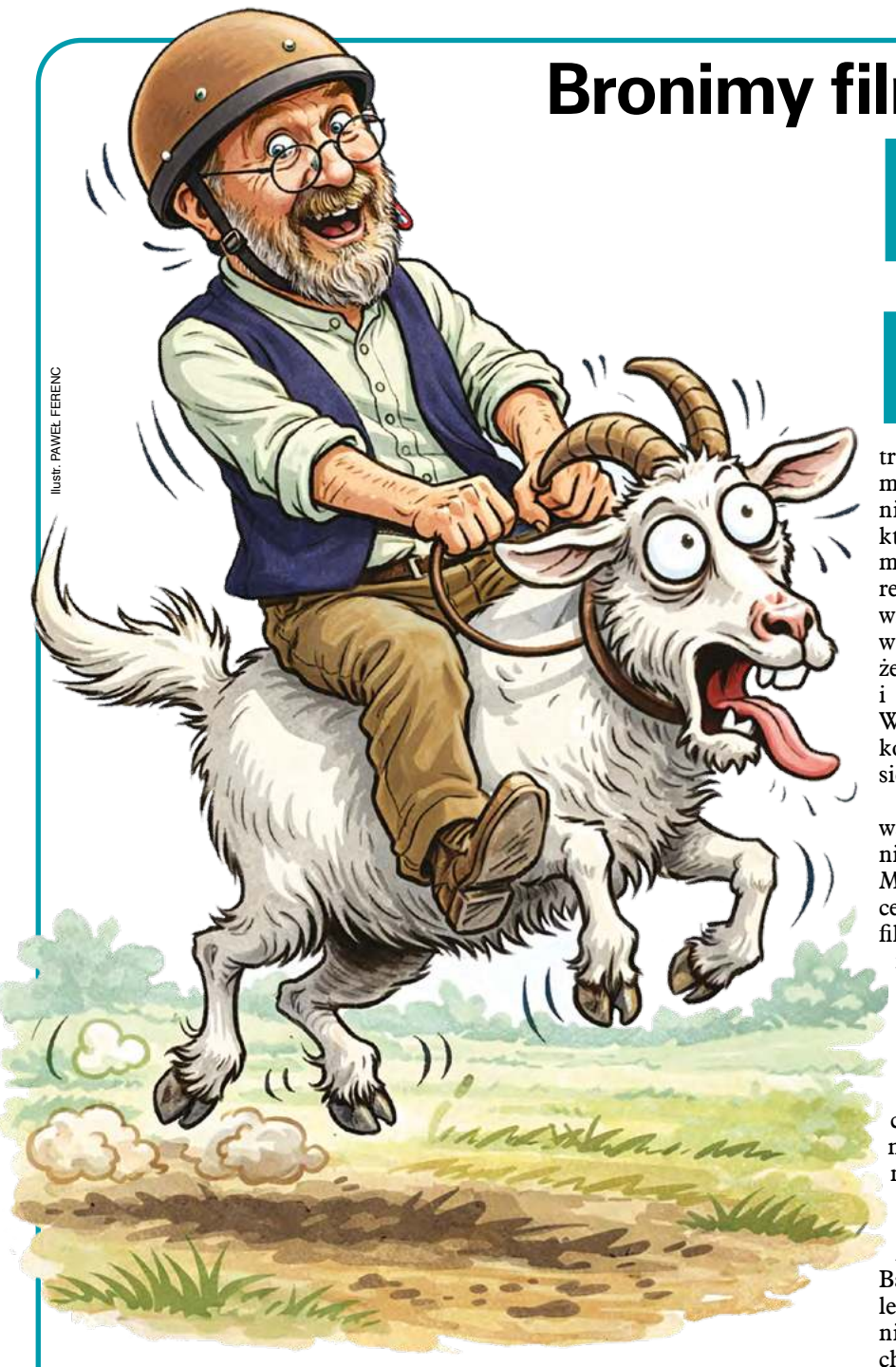

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Bronimy filmu „Podlasie” przed hejtem

Realizm jest przereklamowany

„Podlasie” w reż. Łukasza Kośmickiego szturmem w ciągu nie dni, lecz godzin wysforowało się na pierwsze miejsce filmów oglądanych na Netflixie. To oznacza, że gust masowego polskiego odbiorcy jest bardziej wysmakowany od gustów tzw. krytyków, a może raczej hipokrytyków.

Bezpretensjonalna i pogodna komedia – kontynuacja „Nic na siłę” sprzed dwóch lat, dziejącej się w malowniczej podlaskiej wsi Bodźki – ma w sobie coś, co zasługuje na uznanie, o czym napiszę nieco dalej. Ale najpierw, z kronikarskiego obowiązku, przytoczę przykłady teksańskiej masakry piłą mechaniczną, jaką urządzono uroczej produkcji, do której wyborny scenariusz napisały Karolina Frankowska i Katarzyna Golenia.

Dno i metr mułu?

Na Filmwebie ogólna ocena (w skali do 10) „Podlasia”, stworzona na podstawie 2600 głosów, to zaledwie 4,4, a wśród krytyków – jedynie 3,0. Sugeruje to ni mniej, ni więcej, gniota.

Taki Łukasz Kołakowski napisał na Filmwebie recenzję, w której żalił się: „Film, który bierze sobie tytuł od pięknego polskiego regionu, żeby powiedzieć, że pędzą tam bimber i zbyt często używają słowa »dla«. Do tego nie ma choć pół kadru, który wykorzystuje malowniczość Podlasia. Przeraźliwie nudny, niepotrzebny, żaden. Koszmar”. Ciekawe, że ja – osoba zajmująca się akademicko kulturą – oglądałam film z wielką radością i zaciekawieniem, ale ja wiem, że dobra powieść czy dobry film opowiadają nieprawdę, aby powiedzieć jakąś głębszą prawdę.

Weźmy też opinię Dawida Dróżdża z „Gazety Wyborczej”, o której dość powiedzieć, że jej autor nawet nie potrafił napisać po polsku tytułu recenzji, który brzmi: „Ten film się dla mnie nie podoba. Czyli jak żarty z Podlasia przestały być śmieszne”. Ano tak, zapomniałam – my w „NIE” w odróżnieniu od najbardziej opiniotwórczego polskiego dziennika mamy nadal korektę… Zarzuca on filmowi, że „nie ma aspiracji do bycia socjologiczną obserwacją. Wręcz przeciwnie – wydarzenia przedstawione w filmie mają niewiele wspólnego z realiami życia w Polsce”.

Ciekawe, czy słyszał on o takiej książce, w której opisano w sposób tromtadracki i zafałszowany dzieje małego i niewiele znaczącego w regionie ludu starożytnego w Palestynie, które zwiemy biblijnym Starym Testamentem. Albo o latynoamerykańskim realizmie magicznym, w którym świat widzialny i niewidzialny splatają się w nieodróżnialną od siebie jedność, że o powieściach Philipa K. Dicka i Stanisława Lema nie wspomnę… Widocznie nie słyszał, trudno kogokolwiek winić za nieuctwo, ale po co się z nim tak obnosić?

Z kolei Anna Kruczyńska z Onetu wali z grubej rury: „w rzeczywistości nie jest to – ani ciepła, ani komedia. Momentami zakrawa o horror i science fiction. Oglądając kolejne minuty filmu, nie mogłam opędzić się od pytania: czy ktoś z twórców widział kiedykolwiek polską wieś? I o co chodzi z przejaskrawionym regionalnym zaśpiewem? Żałuję zmarnowanego potencjału”.

Nie będę wredna i nie spytam, czy recenzentka zna polską wieś, już nawet nie podlaską. Ja spędziłam na niej prawie pół życia i dlatego nieprawdopodobną opowieść o miłości pary staruszków, Haliny (doskonała Anna Seniuk) i Jana (wyborny Artur Barciś) traktuję tak, jak traktować należy baśń z morałem. A że komuś się nie podoba, że chcąc uratować ukochaną z długów, Jan wymyśla, że w ich wsi kosmici wylądowali, czego znakiem są kręgi w zbożu? Jak powiedział papież Franciszek na pytanie o gejów: kim ja jestem, aby to oceniać?

Kawał dobrego kina

Oczywiście zarzuty, które się pojawiały, np. że scenariusz jest tak głupi, że wygląda jak napisany przez starszą wersję ChataGPT, można zbyć wzruszeniem ramion, lecz tu idzie o coś więcej niż brak poczucia humoru czy wkurw, że ktoś pokazuje na ekranie coś, co nam się nie podoba.

Przytoczę tu bardzo celną wypowiedź Barcisia zżymającego się na miażdżącą krytykę „Podlasia”: „Myślę, że to ciekawa komedia o świecie rzadko pokazywanym – o wsi, o Podlasiu. To miejsce, które się wyludnia, a to jest ogromny problem. W miejscowości, gdzie kręciliśmy zdjęcia, były zaledwie dwa zamieszkane domy, reszta to pustostany. Starsi mieszkańcy odchodzą, a młodzi wyjeżdżają do miast. Film niesie też takie właśnie przesłanie: nie uciekajcie, bo nawet w takich miejscach można stworzyć coś wyjątkowego, choćby dobrą restaurację, do której ludzie będą przyjeżdżać. Bo jeśli nie ma nic, nikt się tam nie pojawi. To także opowieść o swojskości, gościnności i wartościach, które wciąż mają znaczenie”.

Jeżeli ktoś chce zobaczyć na własne oczy bardziej realistyczną wizję – co nie znaczy, że nie stworzoną na potrzeby telewizji! – może obejrzeć sobie nowele dokumentalne „Żony Podlasia” czy też „Rolnicy. Podlasie”. Film, niczym powieści Sienkiewicza, został stworzony „ku pokrzepieniu serc”. I tę rolę wypełnia wyśmienicie.

Jasne jest, że „Podlasie” nie zostało wyprodukowane z myślą o mieszkańcach wsi pod Białymstokiem. To obraz arcypolski, puszczający oko do publiczności, która – jak bohaterowie w jednej ze scen – nuci sobie hit Zenka Martyniuka „Oczy zielone”.

A jednocześnie zna niejednego księdza rodem z filmu (arcyśmieszny Piotr Pręgowski), zajętego głównie tym, aby pamiętać o tacy. Albo podąża za każdą głupotą z TikToka, przy której lądowanie kosmitów to coś więcej niż prawdopodobnego.

Natrętnie wraca do mnie tytuł klasycznego zbioru esejów Marii Janion „Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi”. Zarówno dosłownie, jak i w przenośni tradycyjna polska wieś, zwłaszcza ta ze ściany wschodniej, umarła. Dosłownie, gdyż wyludnia się w zastraszającym tempie, bo w kapitalistycznym i wielkomiejskim świecie dominacji pieniądza, na miejscu nie ma po prostu roboty, zwłaszcza dobrze płatnej. Starzy umierają, młodzi spierdalają. W przenośni, bo świat wartości wiejskich, obrzędów i obyczajów został wchłonięty, przeżuty i wydalony przez popkulturę.

Niezwykle interesującym wątkiem jest, że Halina straciła dziesiątki tysięcy złotych na inwestycji w bitcoiny. To bardzo symboliczne, gdyż najsłynniejsza i najdroższa kryptowaluta zwiastuje hipernowoczesność, rzeczywistość niematerialną i wirtualną, a jednocześnie obietnicę iście kosmicznych zarobków bez pracy. Przesłanie filmu jest proste: tam, gdzie jedni (którzy i tak mają wiele) realizują w wyniku niejasnych machinacji olbrzymie zyski, tam drudzy (mający mało) tracą niemal wszystko.

Obrona godności zwykłych ludzi

Nieodżałowanej pamięci krytyk filmowy Zygmunt Kałużyński w jednym ze swych esejów wspomina o pokutującym na wsi na ścianie wschodniej stosunku do pieniądza, który najlepiej oddaje opowiadania Lwa Tołstoja „Polikuszka”. Jego tytułowy bohater, biedny chłop pańszczyźniany, gubi powierzone mu przez panią pieniądze. Kobieta nie ma do niego o to pretensji, lecz ten i tak się wiesza. Dla chłopa w Rosji czy pod zaborem rosyjskim pieniądz to była siła obca, potężna, złowroga i sprowadzająca na niego nieszczęście.

Jakieś bardzo dalekie echo tego dostrzegam w „Podlasiu”. Bo dla jego bohaterów pieniądz, a raczej jego brak, to nade wszystko poważny problem. Oczywiście, zgodnie z tradycjami polskich wiejskich sowizdrzałów, gdy uda się naciągnąć bogatych mieszczuchów, to nie jest to oszustwo, lecz sprawiedliwa redystrybucja dóbr materialnych. Nie chcę psuć zabawy z oglądania, ale zwrot akcji, który prowadzi do happy endu, wiąże się ze „znawcami” sztuki ludowej z samego Nowego Jorku. A jak wiemy od Elona Muska, z Nowego Jorku jest bliżej na Marsa niż do Bodziek.

Nie zżymam się, gdy Halina zaczyna zarabiać na serach, a jej wnuczka rozkręca restaurację. Własny mały interes, który pozwala żyć w miarę godnie i wygodnie, to jest ludzka skala, gdyby jednak była to franczyza restauracji lub sery produkowane na przemysłową skalę, byłby to kapitalizm pełną gębą, który budzi mój sprzeciw, bo nie służy człowiekowi, lecz bożkowi zwanemu Kapitałem. Nie mam nic do klasy średniej nieaspirującej, przywykłej do normalnych przyziemnych kategorii, a nie średniej aspirującej, która idzie do celu po trupach i najchętniej obsługiwałaby nie lokalną społeczność, lecz cały świat.

Jedna z bohaterek filmu w pewnym momencie mówi: „Realizm jest przereklamowany”. I miała rację!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Portugalczycy przestają sprzedawać szwajcarskie słodycze pod polską nazwą, bo uznali, że 739,4 mln zł rocznego obrotu to za mało, by dalej udawać miłość. Geopolityka. Portugalia od zawsze chciała dokopać Szwajcarii, ale brak wspólnej granicy uniemożliwiał bezpośrednie starcie. Polska stała się więc polem bitwy zastępczej – takim małym Wietnamem. USA i ZSRR tłukły się w dżungli, a Lizbona z Bernem okładają się po pyskach na naszych regałach z batonikami. Pełnimy w tej wojnie rolę statystów.

▮ Szczecin od 17 kwietnia wprowadza Strefę Czystego Transportu. Piotr Krzystek, który siedzi na prezydenckim stołku od 2006 r., najwyraźniej uznał, że po dwóch dekadach jest nieśmiertelny. To błąd. W Krakowie Miszalski (tylko dwa lata prezydentury) przez podobne ekologiczne fanaberie ma na karku referendum i widmo dymisji. Krzystek – zamiast wyciągnąć wnioski – pcha się w to samo bagno. Oto klasyczna atrofia decyzyjna. Jak się za długo rządzi, to mózg paruje i człowiek zaczyna wierzyć we własną nieomylność. Dokładnie tak samo jak Putin.

▮ Tatrzański Park Narodowy zamknął kram. Cały obszar parku niedostępny, bo drzewa łamią się pod śniegiem, a lawiny czekają. Ale śnieg to pikuś. Prawdziwe zagrożenie w Tatrach jest stałe: niedźwiedzie i górale żądni waszych dudków. Skoro nawet natura mówi wam „spieprzajcie”, to miejcie resztki rozumu. Jak zwykle mamy rację i jak zwykle powtarzamy: Zakopane – nie!

▮ W powiecie kieleckim 25-letni promilant (0,75 mg/l, czyli solidne półtora promila) postanowił sprawdzić głębokość rowu na trasie Nowek–Dobrzeszów. Wysłał na tamten świat 50-letnią pasażerkę. Policja i prokuratura z urzędową powagą „badają okoliczności”, co jest zajęciem równie odkrywczym jak sprawdzanie, czy woda w rzece jest mokra. Skoro pił, jechał i wylądował w krzakach, to okoliczności są jasne nawet dla średnio rozgarniętego krawężnika. Ale umówmy się: to nie jest żadne uroczyste otwarcie sezonu. Prawdziwa inauguracja nastąpi, gdy w rowie znajdziemy stygnące truchło samego jeźdźca, a nie jakąś Bogu ducha winną kobietę, która miała za kierowcę idiotę.

▮ W Łodzi, mieście kominów i niespełnionych obietnic, 42-letni desperat postanowił sprawdzić, czy Gillette to rzeczywiście „najlepsze dla mężczyzny”. Wpadł do fabryki na Nowym Józefowie. Wypalił z nielegalnego pistoletu do byłego szefa. Efekt typowo polski: nikt nie zginął, nikt nie został ranny. Facet po prostu spudłował. 14 lat produkował maszynki do golenia, a nie nauczył się nawet, jak kogoś porządnie ciachnąć. Ewakuowano 400 osób. Kontrterroryści przez 10 godzin tłumaczyli mu, że świat się nie kończy na produkcji żyletek. Prokuratura twierdzi, że chciał zabić. Ja twierdzę, że chciał zamanifestować swoją obecność, tylko zabrakło mu talentu strzeleckiego. Motywy? Oficjalnie nieznane, ale każdy, kto pracował u kogoś przez 14 lat, wie, że po takim czasie ma się ochotę wystrzelać nie tylko zarząd, ale i portiera.

▮ Rząd wprowadził ceny maksymalne na paliwa. W rezultacie na stacjach Moya pojawiły się kartki: „Diesla nie sprzedajemy, bo kupujemy go w hurcie drożej, niż każecie nam sprzedawać w detalu”. To kolejny radosny gwóźdź do trumny gospodarki centralnie sterowanej. Ta nieboszczka, dawno pochowana, wciąż śni się politykom, którzy wierzą, że za pomocą Excela i globalnej koordynacji da się oszukać matematykę. Rząd chciał być dobry dla ludu, a skończyło się tak, że lud może sobie co najwyżej popatrzeć na suchy pistolet w dystrybutorze.

RJ

PS Doniesienia, które Państwu podaliśmy, wygrzebaliśmy z mediów prowincjonalnych. Tam między ogłoszeniem o zagubionej krowie a nekrologiem pijaka rodzi się czasem coś, co przypomina rzeczywistość. Jeśli jednak okaże się, że fakty bezczelnie rozminęły się z tym, co napisano, przepraszamy, ale do niczego się nie poczuwamy.

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 3035c1864a

Koloratka przestaje być aureolą

W Polsce pamięć lokalna powstaje w ciszy, w rozmowach prowadzonych po mszy, na placach przed kościołem, w trakcie spotkań, które nigdy nie trafiają do protokołów. Kiedy więc rada gminy nadaje ulicy imię księdza, wszystko jest już w gruncie rzeczy rozstrzygnięte. Uchwała jest tylko podpisem pod decyzją, która zapadła znacznie wcześniej. To dlatego w kraju mamy tysiące ulic, którym patronują duchowni. I ten trend się nie kończy.

Rys. TOMASZ WIATER

Księża uliczni

Zakrystia rządzi

W Trzemesznie proces upamiętnienia księdza Bronisława Michalskiego nie zaczął się od rady miejskiej, lecz od parafii. Ona była pierwszym miejscem, w którym pojawia się pomysł. I to kilka lat po jego śmierci, a sama uchwała zapadła po paru latach następnych. Nie towarzyszyły jej protesty ani spory, bo w małych miastach brak sprzeciwu bywa ważniejszy niż entuzjazm. Nie ma tu wyraźnej granicy między Kościołem a władzą lokalną, bo w małym mieście te dwa porządki się przenikają. Radny jest jednocześnie parafianinem, który pamięta, kto pomógł w jego wyborze. Uroczystość nadania nazwy miała charakter kameralny, choć symbolicznie doniosły. Obecni byli przedstawiciele władz gminy, parafii i nawet mieszkańcy. Odsłonięcie tablicy nie wymagało wielkiej scenografii. Wystarczyło kilka słów i wspólny pacierz.

W Śremie przypadek księdza Ryszarda Adamczaka pokazuje jeszcze wyraźniej, jak wygląda ten szczególny mechanizm. Najpierw pojawia się wniosek o nadanie tytułu honorowego obywatela. Decyzja ta zapada podczas uroczystej sesji, z udziałem władz miasta, duchowieństwa i mieszkańców. Tego typu sesje mają swoją rytmikę. Są przemówienia, podziękowania, wręczenie dyplomu, często także oprawa muzyczna. Kiedy tytuł zostaje przyznany, wypadałoby, żeby skoro ktoś jest honorowym obywatelem, naturalnym krokiem stało się nadanie jego imienia ulicy, skwerowi albo placowi. To nie jest decyzja polityczna w klasycznym sensie. To raczej administracyjne domknięcie umowy z biskupem lub proboszczem. A że było to za czasów PiS-u, to przeciwników pomysłu nie było.

Na Podkarpaciu, gdzie religijność jest bardziej intensywna, a struktury parafialne silniejsze, inicjatywa często wychodzi bezpośrednio z kręgów kościelnych. W Markowej upamiętnienie ks. Władysława Findysza nie byłoby możliwe bez wcześniejszego procesu beatyfikacyjnego z 2005 r., który sam w sobie jest długotrwałą i zinstytucjonalizowaną formą nacisku. To Kościół inicjował proces, Kościół go prowadził, a kiedy doszło do beatyfikacji, samorząd musiał wejść w gotową narrację. Radni nie tworzyli tej pamięci, oni ją zatwierdzili. Uroczystość odsłonięcia tablicy miała oczywiście charakter religijno-państwowy. Bo w takich przypadkach granica między wydarzeniem świeckim a religijnym nie istnieje.

Ksiądz, więc godzien

W Rzeszowie nadanie ulicy imienia księdza Franciszka Blachnickiego też nastąpiło za czasów PiS-u. Ale tu uroczystości miały jeszcze bardziej oficjalny charakter. Byli radni, przedstawiciele władz miejskich, delegaci organizacji religijnych, a także środowisk związanych z ruchem oazowym.

W Radomiu ulica księdza Jana Twardowskiego pojawiła się w przestrzeni miejskiej też w tym samym czasie. Ta inicjatywa miała charakter bardziej świecki, a uroczystości – choć oficjalne – nie były tak silnie osadzone w liturgii. Odsłonięcie tablicy było raczej wydarzeniem kulturalnym niż religijnym, co dobrze oddaje charakter samego patrona. Bo Twardowski, choć ksiądz, funkcjonował w świadomości społecznej przede wszystkim jako poeta, co pozwalało na szersze, mniej konfesyjne ujęcie jego postaci. Ale to pokazuje, że nie każda ulica nazwana imieniem księdza jest efektem nacisku Kościoła. Czasem jest to decyzja wynikająca po prostu z uznania społecznego.

Stołeczny skwer księdza Jana Ziei został nazwany jego imieniem w 2019 r. Uroczystość nadania miała oczywiście charakter państwowo-społeczny, z udziałem władz miasta, środowisk opozycyjnych oraz przedstawicieli Kościoła. Zieja, jako postać łącząca religię i działalność społeczną, pozwalał na stworzenie wydarzenia, które nie było wyłącznie religijne, ale też obywatelskie. W takich przypadkach ceremonie są bardziej rozbudowane, a przekaz – wielowarstwowy.

W Białymstoku proces nadawania nazwy przestrzeni publicznej imieniem ks. Michała Sopoćki miał charakter ciągły i wieloletni, zakończony sukcesem, rzecz jasna. I oczywiście za czasów rządów PiS-u.

Widać więc, że nadawanie ulic imion księży w Polsce nie jest jednorazowym aktem, lecz procesem, w którym polityka i układy lokalne splatają się z interesami Kościoła w sposób trudny do rozdzielenia. Publika widzi tylko uroczystości – reszta dzieje się wcześniej i bez kamer.

Tym panom już dziękujemy

Ale oprócz wynoszenia na tablice jest i z nich zrzucanie albo zablokowanie. To pokazuje, że są miejsca, gdzie Kościół zaczyna mieć pod górkę. Bo jeśli mieszkańcy potrafią powiedzieć, że patron jest „godny", ale jego nazwisko „zbyt skomplikowane", to znaczy, że coś w kościelnym zblatowaniu z samorządem pękło.

Sprawa z Opolszczyzny jest pozornie banalna. Ot, nowa ulica, potrzeba nazwy, kandydatura patrona Alberta Willimsky'ego, który – jak podkreślano – jest „zasłużony, godny, bez kontrowersji". I nagle sprzeciw. Nie dlatego, że odkryto mroczną kartę jego biografii, lecz dlatego, że jego nazwisko jest trudne do zapisania i wymówienia. „Mieszkańcy napisali petycję, aby dać nowej ulicy inną nazwę" – informowali dziennikarze.

Groteska czy może socjologiczna mina przeciwpiechotna pod dawny porządek? Bo jeszcze niedawno sam fakt bycia księdzem, szczególnie zasłużonym, był wystarczającym powodem, by jego nazwisko trafiało na ulice, ronda i szkoły. Nikt nie zastanawiał się, czy mieszkańcy będą je w stanie przeliterować. Autorytet był oczywisty, a jego materialne formy – niepodważalne. Dziś ta oczywistość znika. I to w sposób, który dla samej instytucji jest być może bardziej niebezpieczny niż kolejne afery.

Bo o ile skandal można próbować zamieść pod dywan, zrelatywizować albo przeczekać, o tyle obojętności i drobnego pragmatyzmu nie da się już przykryć żadną narracją o ataku na Kościół.

Ten mechanizm widać jeszcze wyraźniej, gdy zestawi się go z innymi przypadkami. W Krakowie kandydatura księdza Grzegorza Cekiery upadła po ujawnieniu jego współpracy z SB. W Gdańsku pomnik księdza Jankowskiego – przez lata niemal świętość lokalnej pamięci – został najpierw oblany farbą, potem przewrócony, a ostatecznie usunięty decyzją władz. We Wrocławiu nazwisko kardynała Gulbinowicza zniknęło z przestrzeni publicznej po sankcjach Watykanu.

Ale przypadek ks. Jankowskiego nie zaczął się od jego pomnika i nie skończył na jego przewróceniu. Przez lata był symbolem – kapelanem Solidarności, człowiekiem stojącym obok Lecha Wałęsy, twarzą Kościoła zaangażowanego w walkę z komunizmem. Dopiero po latach zaczęły wypływać relacje osób, które jako dzieci miały być przez duchownego wykorzystywane. I wtedy zaczęło się coś, co w polskiej przestrzeni publicznej długo było nie do pomyślenia.

Podobny mechanizm, choć przebiegający bardziej instytucjonalnie niż ulicznie, można było obserwować w przypadku kardynała Henryka Gulbinowicza. Przez dekady jeden z tuzów Kościoła w Polsce, arcybiskup wrocławski, człowiek o ogromnym znaczeniu dla opozycji w czasach PRL. Jego nazwisko nosiły ulice, szkoły, był honorowym obywatelem, symbolem pewnej epoki. I nagle decyzja Watykanu: sankcje, zakaz uczestniczenia w celebracjach i używania insygniów biskupich, utrata przywilejów. A w tle zarzuty o molestowanie seksualne i współpracę z aparatem bezpieczeństwa. To wystarczyło, żeby miasta odbierały honorowe tytuły, nazwisko znikało z przestrzeni publicznej. Nie dlatego, że zapomniano o jego roli w historii, lecz dlatego, że uznano, iż całość biografii nie pozwala już na jednoznaczne uhonorowanie.

Te historie mają wspólny mianownik: społeczeństwo przestało traktować autorytet dawany przez sutannę jako coś trwałego. To samo społeczeństwo, które potrafiło przez lata bronić duchownych mimo narastających zarzutów, dziś potrafi z nich zrezygnować tylko dlatego, że nazwisko jest zbyt trudne.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Włoski artysta Maurizo Cattelan wypuszcza na rynek miniaturki rzeźby „La Nona Ora". Limitowana edycja miniaturowych papieży przygniecionych meteorytami liczyć będzie dokładnie 666 sztuk. Figura Jana Pawła II pod kamlotem kosztować będzie 2706 euro. Chętni na zakup mini rzeźby mogą zarejestrować się na stronie platformy Avant Arte i wziąć udział w losowaniu specjalnego biletu. Jest też druga możliwość. Artysta wprowadził infolinię konfesjonału, zapraszając publiczność do wyznawania grzechów za pośrednictwem poczty głosowej, SMS-ów lub WhatsApp. Uczestnicy otrzymają symboliczne rozgrzeszenie oraz wcześniejszy dostęp do edycji. Cattelan osobiście oceni nadesłane spowiedzi, odpowie na wybrane wyznania i nagrodzi jedną z wiadomości rzeźbą. Infolinia będzie działać do 22 kwietnia.

✚ Przed sosnowieckim sądem zapadł wyrok w sprawie ks. Grzegorza G. oskarżonego o przestępstwa na tle seksualnym na szkodę trzech dziewczynek. Dwie z nich nie miały 15 lat. Klecha pod wpływem alkoholu napastował podopieczne na wakacyjnym wyjeździe do Włoch. Miał wejść do pokoju hotelowego dziewcząt, gdzie próbował je molestować, wykorzystując swoją przewagę i blokując drogę ucieczki. Nastolatki próbowały się bronić, ostatecznie udało im się zwiać. Sąd uznał ks. G. za winnego doprowadzenia jednej z dziewcząt do poddania się tzw. innej czynności seksualnej. W przypadku drugiej dziewczynki uznał, że duchowny zmuszał ją przemocą do określonego zachowania. U trzeciej z dziewcząt ksiądz dopuścił się naruszenia nietykalności. Wszystkie czyny wyceniono na 2,5 roku pierdla. Klecha ma wypłacić ofiarom 12 tys. zł odszkodowania. Otrzymał również zakaz zbliżania się do dziewcząt i pracy z dziećmi na okres lat 10. Prokuratura zapowiedziała odwołanie od wyroku.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Radni Zakopanego jednogłośnie odrzucili petycję, której anonimowi autorzy apelowali, aby zaprzestać rozpoczynania sesji rady miasta modlitwą. Inicjatorzy petycji tłumaczyli, że taka praktyka nie przystaje do charakteru instytucji publicznej i nie wpływa na poziom debaty podczas obrad. Uzasadniali również, że nie jest zgodna z zasadą równości wszystkich obywateli i ich prawem do różnych wyznań. Przewodniczący rady Grzegorz Jóźkiewicz w rozmowie z mediami wyjaśnił, że udział w tak uroczystym rozpoczęciu obrad jest dobrowolny. Ponadto modlitwa została wpisana do statutu miasta, co oznacza, że jej usunięcie wymagałoby formalnej zmiany tego dokumentu. Przypominamy, że edycja tekstu to nie ciąża, niechciany element można usunąć szybko i bezboleśnie.

✚ W nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek funkcjonariusze drogówki prowadzący kontrolę prędkości pojazdów na ul. Kraśnickiej w Lublinie zatrzymali zbyt szybko jadący pojazd. Kierowcą, jak się okazało pijanym, był ksiądz z lubelskiej parafii pw. św. Piotra Jerzego Frassatiego, gdzie pełni funkcję rezydenta. Duchowny jest również nauczycielem religii w jednym z lubelskich liceów oraz archidiecezjalnym koordynatorem duszpasterstwa akademickiego. 42-letni klecha wydmuchał w policyjny puzon dwa promile. Dalszą część nocy oraz przedpołudnie spędził w celi. Jak donoszą lokalne media, kilka lat temu proboszcz tej samej parafii, zatrzymany za jazdę wężykiem, osiągnął imponujący wynik 2,2 promila w wydychanym powietrzu. Piękna tradycja.

KLECHA

eprasa.pl 3035c1864a

Piłkarsko lepsi

Długo powstrzymywałem się od pisania o polskiej piłce nożnej, ale chyba czas dorzucić swoich kilka groszy.

Trwa ogólnonarodowa dyskusja po tym, jak reprezentacja Polski po przegranym 2:3 meczu ze Szwecją nie zakwalifikowała się do finałów mistrzostw świata. W tych finałach zagrają aż 32 zespoły. Wielu naszym sympatykom sportu trudno się pogodzić, że w tym gronie zabraknie Polaków. Pocieszają się, że nie udało się to Włochom, i to po raz trzeci z rzędu.

Przejrzałem w miarę dokładnie (w miarę – bo było ich naprawdę wiele) komentarze po nieszczęsnym meczu ze Szwecją. Przegraliśmy – można najczęściej przeczytać – choć byliśmy piłkarsko lepsi. Przepraszam, jeśli byliśmy piłkarsko lepsi, to powinniśmy wygrać!

Obrona wygrywa

Blisko mi do analizy, jakiej dokonał były znakomity bramkarz naszej reprezentacji Jerzy Dudek: „Atakiem robisz widowisko, obroną wygrywasz trofea i awanse". Istotnie, jeśli w ofensywie gra polskiej reprezentacji wyglądała, przynajmniej na pierwszy rzut oka, całkiem obiecująco, lepiej niż w wielu poprzednich spotkaniach, w defensywie nastąpiła tragedia.

Prowadzący Szwecję angielski trener Graham Potter jako zawodnik Birmingham City grał na pozycji obrońcy. Jan Urban jest byłym napastnikiem licznych klubów, w których występował, i reprezentacji Polski. Może to zbyt daleko idące rozumowanie,

ale może coś w tym jest, że Urban postawił na atak, a Potter na obronę? Pierwszy z drużyną zagrał ładnie i przegrał, drugi – mądrze i wygrał.

Prawda, że nie mamy w tej chwili wybitnych indywidualności, a tym, które mamy, bliżej do końca kariery niż do początku, ale wszystkiego w ten sposób nie da się wytłumaczyć. W drużynie szwedzkiej, pozbawionej z powodu kontuzji najwybitniejszych graczy, choćby gwiazdy FC Liverpool Alexandra Isaka, Mikaela Ishaka z Lecha Poznań, Dejana Kulusevskiego z Tottenhamu, także nie było czołowych piłkarzy świata. A jednak wygrała, bo z żelazną konsekwencją przestrzegała reguły, którą tak jasno i krótko wyłożył Jerzy Dudek: wygrywa się obroną, atakiem robi widowisko.

Wydawało się, że udział w polskiej drużynie dwójki stoperów FC Porto Jakuba Kiwiora i Jana Bednarka daje nam pewność zabezpieczenia własnej bramki. Fakt, że obaj zbierają w Portugalii dobre recenzje, nie znaczy, iż w nowym – reprezentacyjnym – środowisku będą równie pewni na swoich pozycjach. Nie byli.

Kimże jestem, żeby krytykować decyzje piłkarskiego trenera? Ale naprawdę wiele mądrzejszych ode mnie osób zwraca uwagę, że trener Jan Urban zanadto zawierzył naszym stoperom, nie znajdując w swojej jedenastce miejsca dla defensywnego pomocnika – zwanego w piłkarskim języku „szóstką" – który by wzmocnił ofensywę. Pierwszego gola nasi stracili dlatego, że przed polem karnym zrobiła się duża luka, zabrakło właśnie tej „szóstki".

Gdyby nie fakt, że kilku prawdziwych fachowców ma podobną opinię, nie odważyłbym się na wyrażenie kolejnej uwagi. Jak trener może trzymać na boisku zawodnika, który pod koniec pierwszej połowy meczu – znów użyję sportowego żargonu – „jeździł nosem po trawie"? Chodzi oczywiście o prawego obrońcę Matty'ego Casha. Matty w tym najmniej winny. To zawodnik po kontuzji, który w swoim klubie (Aston Villa) powoli dochodził do formy, nie grał całych spotkań.

Nic się nie stało

Sportowa opinia w kraju domagała się wpuszczenia na murawę, i to od początku meczu, młodziutkiego Oskara Pietuszewskiego, który – oglądam ligę portugalską – robi furorę w FC Porto i nawet tamtejsi komentatorzy nauczyli się wymawiać jego nazwisko. Ma na swoim koncie trzy gole i trzy asysty – ładne osiągnięcie. Problem w tym, że ostatnio bywał w słabszej formie. Jego bilans od 67. min, w której wszedł na boisko, w Sztokholmie to żółta kartka i kilka nieudanych dryblingów. Najsmutniejsze, że ma swój udział przy straconej decydującej bramce. Najcelniej skwitował jego występ Artur Wichniarek, komentator, któremu wierzę, bo sam był dobrym piłkarzem: „Okazało się nie po raz pierwszy, że umiejętność Oskara gry w defensywie jest równa zeru. Starszy klubowy i reprezentacyjny kolega Jakub Kiwior pokazał mu ręką, kogo ma pilnować, ale nasz młodziutki gwiazdor nawet się nie ruszył".

Oskar Pietuszewski to wielki talent. Uwielbiam młodziutkich, bezczelnych zawodników. Moim idolem był Jack Greelish z Evertonu, a obecnie jest nim 16-letni Max Dowman z Arsenalu. Sama odwaga wchodzenia w dryblingi to jednak nie wszystko, trzeba przy tym zachowywać trzeźwy umysł i nie przeceniać swoich możliwości. Może ktoś zwróci uwagę Oskarowi? Wyjdzie mu to tylko na dobre. Bardzo wielu reprezentantów Polski nie będzie już miało szansy zagrania w następnych mistrzostwach świata. Oskar Pietuszewski dopiero zaczyna poważną karierę.

Po porażce ze Szwecją nikt w naszym kraju nie wołał: „Polacy, nic się nie stało!". Kanał „Łączy nas piłka" opublikował filmik z szatni polskiej drużyny po porażce w finale baraży. Nikt się nie odzywał, wszyscy siedzieli ze spuszczonymi głowami, milczał także Jan Urban.

Jeśli spytać piłkarzy, dla kogo grają, zdecydowana większość odpowie, że dla kibiców. O kibicach jeszcze będzie. Teraz zauważmy, że piłkarze grają dla pieniędzy. Nie tylko zresztą piłkarze, także kluby i federacje. W ogóle w futbolu gra się o wielkie stawki.

Fakt, że polskiej reprezentacji zabraknie na wielkim turnieju po raz pierwszy od 2014 r. oczywiście trzepnie zawodników nieco po kieszeni, ale to nie największe ich zmartwienie. Gra w narodowych barwach to prestiż, możliwość pokazania się menedżerom na całym świecie i rozliczne zaszczyty, ale nie główne źródło zarobków. Największe pieniądze piłkarze zarabiają w klubach. Oczywiście za występ na Mundialu zawodnikom też coś skapnie; może to być nawet spora sumka. Wystarczy sobie przypomnieć zadymę, jaką wprowadził do naszej ekipy podział premii nieopatrznie obiecanej przez premiera Mateusza Morawieckiego za awans z grupy eliminacyjnej podczas mistrzostw świata w Katarze. W efekcie żadnej premii nie było, Morawiecki niejedno obiecywał bez pokrycia w faktach, ale co napsuł krwi w zespole, to napsuł.

Wpływów nie będzie

Co innego PZPN. Naszą federację brak awansu na mistrzostwa świata będzie drogo kosztować. Nie dostanie premii za awans i za mecze podczas mistrzostw. A to są już grube pieniądze. W eleganckim biurowcu przy ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. muszą mieć nietęgie miny. Związek dotychczas nie narzekał na debet na rachunku bankowym. Można sobie było nawet pozwalać na pewne ekstrawagancje. Teraz przyjdzie uważniej spoglądać na zestawienie aktywów i pasywów, wpływy na konto będą mniejsze od spodziewanych.

Selekcjonerowi kadry Janowi Urbanowi, mimo że nie spełnił najważniejszego warunku, czyli awansu na mistrzostwa świata, od razu przedłużono kontrakt do czasu mistrzostw Europy, co zostało w środowisku przyjęte raczej z zadowoleniem. Czy pensja zostanie utrzymana na dotychczasowym poziomie? Nieoficjalnie wiadomo, że Jan Urban zarabiał 200 tys. zł miesięcznie, co – jak sam przyznał w jednym z wywiadów – nie jest wiele w porównaniu z tym, ile płacą inne federacje swoim selekcjonerom. „Nasza federacja jest bogata" – dodał z chytrym uśmiechem w tym samym wywiadzie. Teraz już taka bogata nie będzie.

Ważnym szczegółem nowego kontraktu Jana Urbana z PZPN jest fakt, że każda strona może go rozwiązać w dowolnym momencie. A więc, uwaga, panie trenerze. Będą teraz patrzeć panu na ręce.

Nie tylko PZPN i ewentualnie trener Urban (szczegółów nowego kontraktu nie znamy) stracili na niezakwalifikowaniu się na mistrzostwa świata. Szwed węgierskiego pochodzenia Viktor Gyökeres, strzelając w ostatnich minutach do bramki Kamila Grabary, trafił też w kasę TVP. Nasza publiczna telewizja nie oszczędzała ostatnio na zakupach. Dyrektor TVP Sport Jakub Kwiatkowski z góry zapewne liczył na wpływy, jakie przyniosą transmisje z piłkarskich mistrzostw świata. TVP Sport wykupiła bowiem prawa do pokazywania tej najpopularniejszej imprezy na świecie.

Słowo „oglądalność" ma dla wszystkich nadawców telewizyjnych magiczne znaczenie. Od tego, ilu telewidzów zainteresowanych jest programem, zależy cena i liczba reklam, czyli zysk. To oczywiste, że mistrzostwa świata bez piłkarskiej reprezentacji Polski cieszyć się będą u nas dużo mniejszym zainteresowaniem, słowem – oglądalność nie będzie taka, jak zakładano. Trzeba wprowadzić oszczędności.

Kanał z zasięgiem

Mogło być pięknie. Planowano wysłać za ocean liczną ekipę, która miała nie tylko relacjonować wiele spotkań, ale towarzyszyć polskim piłkarzom poza boiskiem. Z tego już zrezygnowano. Jak poinformował Jakub Kwiatkowski, mecze do fazy ćwierćfinałowej relacjonowane będą ze studia w Warszawie. Dopiero później wysłana zostanie skromna ekipa.

Jeśli dodać do tego, że ze względu na różnicę czasu wiele spotkań (choć nie wszystkie) rozegranych zostanie wówczas, gdy u nas obywatele smacznie śpią, naprawdę TVP nie może spodziewać się ulewy gotówki.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Oglądalność piłki nożnej już wcześniej przysporzyła kłopotów firmie Kwiatkowskiego. Prawa do pokazywania Ligi Mistrzów ma Canal+, który bardzo zazdrośnie ich strzeże. Tzw. sublicencję wykupiła TVP i dzięki temu miała prawo pokazywania jednego meczu z każdej kolejki, a po jej zakończeniu – wszystkich bramek. Mecz, który udostępniał Canal+ naszemu największemu nadawcy, był tzw. meczem drugiego wyboru, czyli z założenia najmniej atrakcyjnym. W efekcie widzowie odwrócili wzrok od telewizorów, a oglądalność TVP Sport drastycznie spadła. Jakub Kwiatkowski już zapowiada, że w kolejnym sezonie zrezygnuje w ogóle z piłkarskiej Ligi Mistrzów.

TVP w odróżnieniu od konkurentów ma zaledwie jeden kanał sportowy. Trudno wszystko pomieścić. Widzów interesują tylko transmisje na żywo, a nie odtwarzane, gdy znany jest już wynik. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji skutecznie blokuje wszelkie próby utworzenia kolejnych kanałów; nie tylko to. Właśnie Rada musiałby wyrazić zgodę. W efekcie TVP Sport ma kłopot z pomieszczeniem na jednej antenie wszystkiego, na co licencje wykupiła. Musi się ratować przenoszeniem relacji z ciekawych zawodów do aplikacji i do kanału na YouTubie.

Fani piłki wściekali się, gdy niezwykle atrakcyjnych meczów piłkarskiego Pucharu Anglii, aż do fazy ćwierćfinałowej, nie mogli oglądać na normalnym kanale. Na szczęście ćwierćfinałowe spotkanie, w którym II-ligowy Southampton sensacyjnie wyeliminował zmierzający po mistrzostwo kraju Arsenal Londyn (2:1, bramkę dla Arsenalu strzelił Viktor Gyökeres) trafiło do mającego największy zasięg kanału TVP Sport.

Lekcje kibicowania

Obiecałem kilka zdań poświęcić kibicom i słowa dotrzymuję. O ile na ligowych stadionach króluje chamstwo (im niższa liga, tym jest gorzej), w wielu klubach rządzą bandyci i handlarze narkotykami, o tyle do kibiców reprezentacji narodowej było mniej krytycznych uwag. Z reguły zachowywali się mniej więcej poprawnie, a w każdym razie doping nie różnił się drastycznie od tego, co widzimy i słyszymy na zagranicznych arenach.

Teraz zastanawiam się, czy nie byliśmy trochę wprowadzani w błąd przez telewizję. Półfinałowy barażowy mecz eliminacji mistrzostw świata Polska rozegrała z Albanią w Warszawie. Oprawa na Stadionie Narodowym miała być uroczysta. Na murawie zameldowała się Orkiestra Reprezentacyjna Straży Granicznej pod batutą ppłk. Leszka Mieczkowskiego. Zadanie do wykonania: odegranie hymnów narodowych Albanii i Polski. Wyszedł z tego wielki wstyd. Z braku nagłośnienia instrumentów nie było słychać, za to podczas gdy – wszystko na to wskazuje, bo albańscy zawodnicy poruszali ustami – odgrywano hymn Albanii, do uszu słuchaczy docierały przeciągłe gwizdy i buczenie. Albańczycy zrewanżowali się tym samym, ale ponieważ było ich mniej, a w połowie odgrywania Mazurka Dąbrowskiego technika wreszcie zadziałała, wstyd padł na naszych. A jeśli podczas poprzednich meczów na Stadionie Narodowym zachowywali się tak samo, tylko po prostu tego nie słyszeliśmy?

Małopolski Związek Piłki Nożnej i Małopolskie Kuratorium Oświaty podjęły się zadania nauczenia uczniów kulturalnego kibicowania. Szkoły (na razie kilka) odwiedzili dawni piłkarze, działacze i inne osobistości. Wyjaśniali, jak dopingować swoich, nie obrażając przyjezdnych. Docelowo zajęcia objąć mają wszystkie szkoły województwa: podstawowe i średnie. Po teorii nadejdzie czas na praktykę, czyli grupowe wyjścia na stadiony.

Nie wiem, czy kibicowania można się nauczyć teoretycznie lub nawet praktycznie. Kulturę wynosi się z domu, z rówieśniczych kontaktów w szkole, z mediów, także tych społecznościowych. Będzie to trudne w kraju, którego obywatele wybrali na swojego prezydenta człowieka o kibolskiej przeszłości, nawet nie próbującego się jej wypierać, przeciwnie – szczyci się nią.

Jeśli młodzież nauczy się kibicowania, a piłkarze lepszego grania, czeka nas świetlana przyszłość. Tylko czy ja jej doczekam?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 8.04.2026 r.

eprasa.pl 3035c1864a

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezes Kaczyński skrzywił się, czując ból w kolanach. Potrzebował lekarstwa zdecydowanie silniejszego od tego, które zażywał teraz. Co radził ten młody Moskal? Fentanyl?

Mimo bólu prezes przesiadł się z łóżka na fotel, siorbnął wystygniętej kawy i spojrzał na ścianę, na której znajdowała się przygotowana przez kogoś – chyba przez młodego Moskala – strategiczna mapa partii. Kaczyński zatrzymał wzrok na ostatnich wydarzeniach. I na przylepionych do ściany zdjęciach: senatora Włosowicza i posła Szczuckiego.

– Tfu! – Prezes splunął na podłogę przykrytą wystrzępionym dywanem z Afganistanu.

W niedużej odległości od fotografii banitów wisiał portret premiera Orbána. Miał na sobie zbroję Sobieskiego. Jeśli wygra wybory, powstrzyma liberalno-lewacką nawałę zagrażającą cywilizowanej Europie, ale jeśli przegra…

Kaczyński popatrzył jeszcze bardziej w prawo, gdzie do ściany ktoś przykleił (kto wie, czy czasem znów nie ten młody Moskal) strzęp pomarańczowego futerka, symbolizujący łysiejącą potęgę władcy Stanów Zjednoczonych.

– Już on wie, co robi – wymamrotał prezes i sam się zastanowił nad tym, kogo ma na myśli: młodego Moskala czy starego Trumpa.

– Donald Trump! Donald Trump! – zaczął skandować zdziecinniałym głosem, bo przypomniał sobie wydarzenie z sejmu wciąż odtwarzane w TVN24.

A potem przypomniał sobie zamach i wszystkie miesięcznice. Wtem stanął mu przed oczami spalony krzyż z Mokotowa. Chciał zakląć, ale nie wypadało. Co powiedział o pożarze młody Moskal? Wypadek? Pech? Zbieg nieszczęśliwych okoliczności?

– Nie – cicho jęknął Kaczyński. – To też musiał być zamach.

Zdjęcie Morawieckiego na ścianie, a do zdjęcia przyklejona tarcza strzelnicza. Czerwone nitki prowadzące do zdjęcia Szczuckiego. Oznaczona na czerwono liczba 80. Co to znaczy? Że 80 jest harcerzy Morawieckiego? Że ma on tylu posłów?

Nagle prezesowi Kaczyńskiemu zakręciło się w głowie. I nic już nie wiedział na pewno. Ilu jest harcerzy, a ilu Persów zginęło z nieprzewidywalnej ręki Trumpa. Ile procent poparcia ma Orbán, a ile tabletek fentanylu trzeba wziąć, żeby przestało boleć. Rzeczywiście fentanylu?

Jeszcze szybsza karuzela w głowie. Jeszcze więcej mroku. Jaki klawisz na komórce należy nacisnąć, żeby nadeszła pomoc? I kto przyjdzie z pomocą? Czyżby znów ten młody Moskal?

Na szczęście obyło się bez naciskania klawisza. Niepotrzebny był Moskal i fentanyl. Po kilku minutach Kaczyński doszedł do siebie na tyle, że mógł z powrotem przenieść się na łóżko i włączyć telewizor. Akurat leciała transmisja z turnieju rodeo w El Paso.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zamartwia się wolnym światem, którego przywódca cierpi na demencję. **JOANNA SENYSZYN** jest starsza, mądrzejsza i ma więcej dystansu, choć jej też czasem brakuje słów.

Wołk-Łaniewska: – Święta udane?

Senyszyn: – Jak zwykle. A twoje?

– Też. Do tego stopnia, że się zasiedziałam w Białymstoku.

– Długo?

– Dwa i pół dnia. Bo jak wiadomo, gość jest jak ryba: na trzeci dzień zaczyna śmierdzieć...

– Ja nie podzielam tego poglądu. Mam dużą chałupę i lubię gości.

– Moja przyjaciółka na etacie siostry pewnie też by tak powiedziała, ale wolę nie sprawdzać… W każdym razie dzięki zasiedzeniu obejrzałam „Melanię”.

– Związek mi umyka.

– A bo Nana szła we wtorek rano do pracy, więc w poniedziałek poszła spać wcześniej, toteż mogłam sobie na jej wspaniałym kinowym ekranie włączyć po cichutku to dzieło światowej hagiografii, którego nikt nie chciał ze mną obejrzeć.

– Zgadnij dlaczego.

– A właśnie, że niesłusznie. Bo film tak naprawdę jest komiczny, jeśli dobrze mu się przyjrzeć. Sam początek. Głos Melanii z offu: „Każdym mój dzień przeżywam z poczuciem celu i oddania”… A potem dziesięciominutowa sekwencja obrazująca cel: Melania Trump z całym zespołem krawców debatuje nad tym tym, czy klapy w płaszczu na inaugurację powinny być wąskie, czy trochę szersze. A jeszcze potem słyszymy kilka razy o „mojej kreatywnej wizji”, która „zawsze jest jasna” i w końcu „osiąga swoją finalną wersję” – wtedy decyduje się los wstążki na kapeluszu.

– Tym kapeluszu, którego użyła do wyznaczenia dystansu sanitarnego od swojego męża podczas jego inauguracji? Kiedy próbował ją pocałować w policzek, rondo dzielnie stanęło na drodze…

– Tym właśnie. I wyobraź sobie, że ten cmok utrudniony przez kapelusz powtórzył się tego dnia kilka razy w różnych miejscach – i twórcy pieczołowicie wszystkie te sekwencje umieścili w filmie. Co, moim zdaniem, może wskazywać na pewną złośliwość. Podobnie jak zezwolenie bohaterce na wygłoszenie zdania: „Jako Pierwsza Dama nieustannie myślę, jak nasi prawodawcy mogą tworzyć równe szanse”…

– To i tak więcej, niż można powiedzieć o jej mężu, który na pewno nie myśli o tym, jak tworzyć równe szanse. Nawiasem mówiąc, szczerość prezydenta USA jest doprawdy zadziwiająca. Jego wpis o tym, że USA pomogą rozładować korek w cieśninie Ormuz i „wielkie pieniądze będą zrobione” zrobił na mnie wrażenie.

– Zwłaszcza parę godzin po wpisie, który mówił, że „dziś umrze cała cywilizacja” – co było jednak dość przerażające. Nawet jeśli większość świata wie już, że Trump cierpi na otępienie czołowo-skroniowe, więc nie należy traktować go nadmiernie poważnie...

– Trump ogłosił koniec cywilizacji, bo nie rozumie, że to byłoby katastrofalne głównie dla Amerykanów, którzy mają wyłącznie cywilizację. Europa, Daleki Wschód i oczywiście Iran mają także kulturę. Ciekawe, czy Trump wie, że Iran to dawna Persja, czyli jedno z największych imperiów starożytnego świata, którym rządzili Achemenidzi, Partowie, Sasanidzi.

– Jeśli nie było to napisane na kuponie na happy meal w McDonaldzie, to nie wie.

– W Persji, a konkretnie w Ispahanie – ale to już w XI w. – uczył się fachu u słynnego Avicenny bohater książki Noaha Gordona „Medicus”. Niedawno film leciał w telewizji i stanowił miłe urozmaicenie w nawale amerykańskich mordobić.

– A skoro już jesteśmy przy kulturze: bardzo mi smutno z powodu śmierci Wiesława Myśliwskiego. Uwielbiam „Traktat o łuskani fasoli”, ale tak naprawdę Myśliwski zapadł mi w serce pod koniec lat 80., kiedy to napisał krótki dramat „Drzewo”, który wystawił Dejmek w Polskim. Ja to musiałam zobaczyć dość szybko po premierze, bo Hrabiego grał Mieczysław Voit, który zmarł chwilę później, w styczniu 1991 r. Zresztą chyba widziałam to jeszcze za komuny, bo strasznie mnie śmieszyły pogaduszki milicjanta z duchem hrabiego, kiedy milicjant mówił: „Musicie dręczyć? Małoście się nadręczyli ludzi za życia? Walka klas to z wami była! I się jeszcze nie skończyła!”. A teraz widzę, jakie to słuszne słowa.

– Z hrabiami walka klas ci się jeszcze nie skończyła?

– No niby racja, teraz są inni krwiopijcy. Aż tęskno się robi za hrabią, zwłaszcza jakby wyglądał jak Mieczysław Voit…

– Rozmowa o kulturze niejako automatycznie przywodzi mi na myśl klasę polityczną, zgodnie z cytatem z naszej ukochanej Olgi Lipińskiej, że „chamstwo jest miernikiem kultury”.

– Korzystając z okazji, życzymy Oldze wszystkiego absolutnie najlepszego z okazji przypadających w tym tygodniu urodzin…

– Oldze życzymy wszystkiego absolutnie najlepszego zawsze, acz w urodziny szczególnie. Tylko jak ja mam z tego przejść do chamstwa?

– I klasy politycznej?

– No właśnie… Okej, przechodzę po prostu: Rząd Tuska myślał, myślał i wymyślił, jak rozwiązać finansowe problemy Kościoła kat.

– To Kościół ma problemy finansowe?

– Pewnie, że ma, bo wierni się zbiesili i przestali zamawiać usługi.

– Prawda, ostatnio czytałam, że liczba ślubów kościelnych spadła w ciągu dekady o połowę i o tyleż podwoiła się liczba świeckich pogrzebów. Mówiłam ci, że to mój plan B? Tzn. nie świecki pogrzeb – bo to oczywiste – tylko bycie świeckim mistrzem ceremonii pogrzebowej.

– Mówiłaś, a ja cię nawet obstalowałam na mój pogrzeb, tylko jakoś nie widzę, żebyś czyniła wysiłki w kierunku opanowania trudnej sztuk grzebania antychrystów.

– Zajęta jestem, więc nie masz się co śpieszyć z umieraniem.

– Nie śpieszę się. Ateiści, jak zawsze powtarzam, mają po co żyć, ale nie mają po co umierać. Wracając do tematu: MSWiA i MON będą włączać parafie w struktury obrony cywilnej, co zrobi z nich – uwaga – „filar bezpieczeństwa lokalnego”.

– Taaa, zwłaszcza małym chłopcom parafie zapewniają bezpieczeństwo…

– To też, ale jakby była wojna, to rząd chce zorganizować w parafiach punkty pierwszej pomocy, więc da im generatory prądu, zapasy wody, leki oraz środki higieniczne. Na parafiach władza udostępni ludowi agregaty prądotwórcze, a klerowi powierzy „udział w zabezpieczaniu zabytków”.

– A pisze, jak później planuje te zabytki z łap kleru wydobywać?

– Nie, pisze za to o „wykorzystaniu sieci parafii do dystrybucji pomocy, w tym korytarze humanitarne i wsparcie dla uchodźców”. Pamiętam, jak klechy handlowały darami w czasie stanu wojennego. Teraz jeszcze przejmą dobra kultury. Powtórka z rozrywki?

– Na pocieszenie możemy sobie powiedzieć, że żadnej wojny nie będzie.

– Nie będzie, ale „współpraca” ma dotyczyć też klęsk żywiołowych. Jestem gotowa się założyć, że Kościół spokojnie sprzeda wszystko, co rząd mu da – generatory, leki, żywność…

– A jakby ktoś zapytał, to powie że rozprowadził wśród potrzebujących.

– Najsmutniejsze jest to, że nikt nie zapyta – czy rządzi Tusk, czy Kaczyński.

– Dlatego cała władza w ręce Senyszyn!

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Rys. MAURIZIO DI BONA

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 3035c1864a